MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 19. WARSZAWA, 11 MAJA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

ZNAMIENNY WYPADEK

BYWAJĄ zdarzenia, które, jak błyskawica, pozwalają na rzut oka objąć i zrozumieć ćmione mgłami stosunki. Taki wypadek zdarzył się teraz w Polsce z powodu przybycia do Gdyni kierowników ruchu Młodych Obozu Wielkiej Polski.

Na czele tego zjazdu stali politycy obozu narodowego. Całość, złożona z tysiąca zgórą osób, dobrze zorganizowanych, ale nadewszystko stanowiących świetną reprezentację duchowych sił narodu dni najbliższych, robiła wrażenie imponujące i radosne. Uczestnicy zjazdu serdecznie witani byli przez mieszkańców. Dlaczego zastępy te przybyły w dniu 3-go maja do Gdyni? Niech na to pytanie odpowie rezolucja, powzięta na zjeździe:

1. Zjechaliśmy się po raz pierwszy, my kierownicy ruchu Młodych ze wszystkich stron Polski dlatego właśnie w Gdyni, że brzeg Bałtyku, to fundament wielkości naszej Ojczyzny.

Gdy jednak wąski on jest i ciasny, gdy stary Gdańsk nie całkowicie jeszcze w polskich jest rękach, kiedy na zachód i na wschód rodacy nasi niemieckimi są poddanymi, rozumiemy, jak wielkie i trudne zadania są jeszcze do spełnienia, rozumiemy, że skuteczną politykę morską poprowadzi tylko państwo zwarte i mocne, oparte na prawie i rządzone przez zorganizowany naród.

2. Niemcy ufni w swoją liczebną i materjalną przewagę, ufni w osłabnięcie swych zachodnich zwycięzców oraz w międzynarodową intrygę, głoszą otwarcie i zuchwale swoje pretensje do granic ustalonych w traktacie Wersalskim.

Rząd polski nietylko nie umie temu zapobiec, ale wdaje się z nimi w układy, zawierając niekorzystne umowy i traktaty.

Niemcy jednak muszą zrozumieć, że walka o morze i granice jest dla nas święta, że cel jej mnoży siły narodu. Muszą pamiętać również, że ataki ich kierują się przeciw granicom, które setki tysięcy Polaków, pozostawiły poza państwem polskiem, które przy Niemcach odwieczne piastowskie zatrzymały ziemie.

3. Szczególnie mocno sprzeciwić się przeto musimy próbom uwikłania Polski w bezcelowe awantury na wschodniej granicy. Oświadczamy, że nikt nie zdoła nam przeszkodzić w gruntowaniu podstaw potęgi Polski — na brzegu morskim i na szańcu walki z niemczyzną.

4. W tem położeniu przy naporze, jaki od zewnątrz organizowany jest na na nasze granice, trwa w kraju stan niepewności i bezwładu, u steru pozostają ludzie. którzy w okresie odbudowy państwa dowiedli, że znaczenia morza oraz ziem zachodnich nie rozumieją. Stwierdzić musimy, że skoro polityka polska stanęła w chwili obecnej na rozdrożu, jest obowiązkiem naszym skierować ją na właściwe tory. Skupiwszy w Obozie Wielkiej Polski liczne i wzrastające wciąż zastępy młodego pokolenia polskiego, rozumiemy jednocześnie całkowicie wzrastającą wciąż odpowiedzialność naszą za przyszłe losy państwa i za to wszystko, co Polskę dzisiaj spotyka.

Niema w Polsce patrjoty, któryby pod tą deklaracją się nie podpisał i nie pragnął, aby manifestacja młodej Polski poważnie zaświadczyła o jednolitej postawie Polski nazewnątrz. Tymczasem stało się coś, co wydawało się niemożliwem. Uczestnikom zjazdu przytrafiło się w Gdyni akurat to samo, co przed paru laty wycieczce teatru polskiego do Opola. Stało się to tak, jakby nie było granicy pomiędzy państwem niemieckiem a Polskiem i to właśnie wywołuje niesłychaną sensację. Nikt tego inaczej nie zrozumie, jeno w ten sposób, że nie wolno i tu i tam robić tego, co nie podoba się Niemcom, że Niemcy sięgają wpływami swemi do Gdyni.

Czy tylko do Gdyni? Urzędowa Polska Agencja Telegraficzna rozesłała natychmiast komunikat,

w którym winę zajścia zrzuca na młodzież akademicką, bo ta rzekomo „prowokowała" ludność. „Ludność gdyńska" podrażniona wyzywającą postawą młodzieży wobec pochodu narodowego, rozprawiła się z młodzieżą kamieniami i rewolwerami. Agencja zapewnia, że napadli na ludność przyjezdni, bo „ze strony wiecujących padło kilkanaście strzałów." „Oburzone rzesze robotników"... i t. d.

I to jest najważniejsza część zdarzenia gdyńskiego. Gdybyż całe zajście było zlokalizowane, gdyby odpowiedzialność spadała na miejscowe szumowiny polityczne i społeczne, które dały się użyć za narzędzie! Ale sprawa się rozszerza na Warszawą sanacyjną, która nazajutrz występuje z gotowym aparatem kłamstwa, maskującego prawdziwe oblicze faktu.

W „Gazecie Polskiej" pojawia się jednocześnie cały raport, od początku do końca zmyślony, wmawiający opinji, że młodzież patrjotyczna polska (ta która uchwaliła powyższą deklarację) przybyła do Gdyni, aby znieważać jej uczucia polskie i strzelała do ludności salwami. „N i e p r o s z e n i g o ś c i e strzelali"! Dlaczego? Bo parę osób chciało się „przysłuchiwać", o czem mówią „wiecownicy"... (Nb. zebranie odbywało się za zaproszeniami w zamkniętym lokalu i nie było wiecu).

Kłamstwo zbyt ordynarne, popełnione przez ludzi, nie znających społeczeństwa polskiego, które przecież wie, co ma myśleć o obozie narodowym. Trzeba jednak było coś wymyśleć, aby zatrzeć wrażenie skandalu i hańby i skierować uwagę opinji na jakąś anegdotę, bo istota rzeczy jest fatalna.

Niestety fakt pozostaje faktem. Napad — jak się okazało — był zorganizowany zawczasu; męty polityczne, działające wbrew interesom polskim, użyły mętów ulicznych, aby z za płotu rzucały kamieniami w „nieproszonych gości". Zjazd nie miał zapewnionej obrony, jaka się mu należała i gdyby nie samoobrona dzielnej młodzieży, która napastników przepędziła, mogłoby dojść do bardzo smutnych następstw.

Pokazało się, że „nieproszeni goście" już w przeddzień zajść byli powiadomieni, że one nastąpią i jak będą potem motywowane. Organizowała je sanacyjna „Federacja pracy", która sprowadziła swoje bojówki.

Wolno bandytom grasować, skoro im... wolno, ale dlaczego „Gazeta Polska", dziennik tak znaczący, solidaryzuje się z nimi? Skoro takie wypadki gdyńskie mają choć cokolwiek charakteru sanacyjnego „współpracy", to przecież opinja głęboko może być zaniepokojona o los granic zachodnich.

„Sanacja" przeholowała, a jej kompromitacja gdyńska bardzo znamiennie się uwydatnia w zestawieniu ze świeżo przeprowadzoną dyskusją na temat polityki wschodniej. Walka wewnętrzna o orjentację zasadniczą w polityce polskiej toczy się już parę dziesiątków lat i teraz dopiero załamuje się na takich drastycznych wypadkach, jak utarczka w Gdyni w dn. 3 maja 1930 r.

Powiadają o „sanacji": „zaślepiona"! Ona widzi, tylko ci są zaślepieni, którzy nie widzą, jak wielkie wpływy mają Niemcy w Polsce.

Z. W.

NIEOKRZESANI ALE TYLKO BAŁAMUTNI

TYLKO wielka waga sprawy polityki Polski wobec Rosji, która w ostatnim czasie tak rozlegle i z tak dużym pożytkiem była u nas rozstrząsana z udziałem wszystkich kierunków politycznych i ze znacznym odgłosem zagranicznym, może uzasadnić poświęcenie, jakiem jest niewątpliwie zniżanie się, wobec czytających, do zwracania uwagi na to, co i jak w tej sprawie pisze, w odpowiedzi na moje rozważania na tem miejscu (nr. 17 z 27-go kwietnia b. r.) p. Cat-Mackiewicz, poseł z B. B., w gazecie wileńskiej, którą kieruje.

Poziom poprostu opłakany i niema lepszej kary na rozbukanego kłusownika w polu dobrych obyczajów pisarskich, który sobie na coś podobnego pozwala, jak przytoczenie tych objawów nieokrzesania:

„—...Publicysta poważny, zaszczycony godnością profesora, urabia tę opinję zapomocą nieścisłości, nieprawdy, kłamstw... Czemś gorszem, niż deklasowanie czytelnika, jest robota profesora Strońskiego... Wiemy, że prawdomówność „Zwiezdy" mińskiej stoi na r ó w n y m p o z i o m i e z p r a w d o m ó w n o ś c i ą prof. Strońskiego, który sobie pozwala w dalszym ciągu na tego rodzaju szkaradne fałsze... I na tem polega szkaradny, haniebny fałsz profesora Strońskiego... Profesor i historję potrafi fałszować..."

Jest to zupełnie jaskiniowy poziom obyczajowy. Gdybym istotnie, wskutek jakiegoś błędu, napisał coś nieprawdziwego, wszakże ten przedstawiciel dziennikarski dzisiejszego t. zw. zachowawczego obozu B. B. mógłby napisać, że to jest błąd lub twierdzenie niezgodne z rzeczywistością, a ja bym albo przyznał, albo wykazał, że błąd jest nie po mojej stronie. Ale tu odrazu język z karczmy.

Lecz jest jeszcze gorzej. Te dosadne wyrażenia nie są wcale następstwem wykazania, że ja powiedziałem coś nieprawdziwego. One tylko... zastępują dowód.

Niechaj ten sposób prowadzenia sporów dziennikarskich pozostanie w pamięci, jako pomniczek poziomu, na którym w swej działalności politycznej koło R. P. 1930 w Polsce stało zjednoczenie t. zw. zachowawczych grup obozu rządowego pod przewodem ks. Janusza Radziwiłła, hr. Zdzisława Tarnowskiego, ks. Eustachego Sapiehy, p. Józefa Wielowieyskiego i t. d.

*

Dziennikarski ten przedstawiciel rządowego obozu zachowawczego pragnie obalić moje twierdzenie, że wystąpienia przedstawicieli Str. Nar. w Sejmie i Senacie oraz znane rozważania Dmowskiego w pismach były wywołane niewłaściwemi nastrojami, szerzonemi po stronie obozu rządowego, w zakresie naszego stanowiska wobec Rosji.

1. Przytacza mianowicie z moich uwag („M. Nar.” nr. 17):

„—W ciągu lutego b. r. wytworzyły się u nas nagle nastroje jakby oczekiwania jakichś zaniepokojeń na naszej granicy wschodniej. Po piśmie Ojca Św., nakazującem modły za chrześcijaństwo, prześladowane w Sowietach, pojawiło się w dziennikach zawołania belwederskiego twierdzenie, że Ojciec Św. naznaczył te modły na dzień św. Józefa ze względu na imieniny p. Piłsudskiego, oraz snucie w związku z tem wojowniczych roztrząsań...“

I dodaje („Słowo” nr. 98 z 29-go kwietnia b. r.):

„—Nieprawda! Nie było u nas żadnego oczekiwania, ani robienia żadnych nastrojów, jak to insynuują bolszewicy z naszem stronnictwem narodowem pospołu.“

Otóż nie nieprawda, lecz prawda.

Odrazu po ogłoszeniu pisma Ojca Św. i potem parokrotnie czytało się po stronie obozu rządowego:

„—...Polska może być conajmniej dumna z tego, że data wszechświatowej manifestacji przeciwkomunistycznej wyznaczona została na dzień imienin Wodza Naczelnego jedynego państwa, które przeprowadziło zwycięską wojnę z krwawem imperjum sowieckiem... Jeżeli w tym wyborze Głowy Kościoła będzie się podobało sługom czerwonej gwiazdy doszukiwać jakichkolwiek symboli, to kto wie, czy nie lepiej, że symbol ten skojarzy im się z nazwiskiem Józefa Piłsudskiego, jedynego Wodza... i t. d...“ („Kurj. Por.“ z 7-go marca b. r.)

Nie było to wcale jakieś odezwanie się przemijające i odosobnione, ale ustawiczne wmawianie takich myśli Ojcu Św., tak, że wywiązał się o to nawet spór tego dziennika z Kat. Aj. Pras. w dniach 20-go do 22-go marca b. r.

2. Przytacza następnie z moich uwag („M. Nar.” nr. 17):

„—...Równocześnie w pismach tej samej barwy zaczęto dzień w dzień ogłaszać obszerne wiadomości o dziwnych rzeczach na granicy, przez którą jakoby przechodziły tłumy uchodźców z Rosji, jakieś tysiące i tysiące, ustawicznie, pod obstrzałem, w ucieczce przed zbiorowem gospodarstwem rolnem i przed prześladowaniem religijnem. Pod wpływem tych wiadomości kraj, jak długi i szeroki, dostał się w wir pogłosek, że na coś się zanosi...“

Do tego znowu dodaje:

„—Dalej pisze prof. Stroński, podobnie jak to czynił p. Dmowski, powtarzając i za swoje podając nonsensy organów komunistycznych... Być może, że prasa sensacyjna warszawska przesadzała sobie cyfry uciekinierów z Rosji...“

Tu zatem przeczenia już nie wprost, ale wykrętami, bo to, co ja napisałem, było całkowicie prawdziwe.

Przykład z jednego tylko dnia w jednem tylko wydaniu pisma barwy rządowej:

„—... (str. I-sza):... Wstrząsające opowieści wychodźców sowieckich w ucieczce przed śmiercią, głodem i prowokacją (tutuł na szerokości całej stronicy)... Masowa ucieczka chłopów z Rosji sowieckiej do Polski wywołała wielkie poruszenie umysłów na całem pograniczu... (str. 3-cia:)... Czerwoni Hunnowie przeciw kościołowi i rolnikom w walce z ostoją ładu i sprawiedliwości w świecie (tytuł na szerokość całej stronicy)... (str. 7-ma):.. Na chleb dla uchodźców z Sowietów (list ze składką). Notując ten szlachetny objaw, nie wątpimy, iż losem nieszczęsnych ofiar teroru bolszewickiego zajmie się odpowiednia organizacja społeczna, która będzie mogła podjąć zainicjowaną przez naszych czytelników akcję...“ („Expr. Por.“ nr. 61 z 2 marca r. b).

To jest z jednego dnia i jednego wydania pisma.

Otóż wobec tych ogólników o tłumnem przechodzeniu uchodźców na całem pograniczu, szerzenia nastrojów o niepokoju na granicy, wzywania do działań społecznych w tej sprawie u nas, zebrałem jedyne dane dokładne, znane w tej sprawie i ogłosiłem je 18-go marca b. r.:

„—... Jest nas 20 osób, w tem dwoje małych dzieci, jedno 2-letnie, drugie przy piersi 6-ciomiesięczne...“ (rozmowa z jedyną znaną grupą uchodźców koło Drui, na podstawie której w „Kurj. Wil.“ ukazało się sześć artykułów wysłannika tego pisma od 28-go lutego do 11-go marca b. r.)

„—... Na teren województwa wileńskiego zgłosiło się dotąd kilkadziesiąt osób, przybyłych nielegalnie z tamtej strony granicy...“ (oświadczenie nacz. wydz. bezp. w Woj. Wil. p. T. Bruniewskiego, ogłoszone przez aj. „Iskrę“ 11-go marca b. r.).

„— Zawiadomienie w pismach, że dnia 7-go marca b. r. ks. Nuncjusz Marmaggi był u p. prezesa R. M. Bartla, oraz że pragnął dowiedzieć się czegoś bliższego o uchodźcach, bez dalszych jakichkolwiek danych, potwierdza, że ruch ten nie doszedł do większych rozmiarów...“

Na podstawie tych wszystkich danych stwierdziłem zatem także i tutaj („M. Nar.” nr. 17):

„— W sprawie owych tłumów uchodźców okazało się w bliższem wejrzeniu w wiadomości, że liczba ich wynosi kilka dziesiątek, lub parę setek, mniejwięcej tyle, ile jest zawsze przekraczających długą granicę polsko-sowiecką...“

Warto na małym przykładzie poznać jakie skoczki umie sobie ten obrońca prawdy i ścisłości urządzać po cudzych zdaniach, które przytacza:

— Lecz nieprawdą jest, aby uchodźców z Rosji sowieckiej „było tyle“ — jak to dalej pisze prof. Stroński — „ile jest zawsze przekraczających długą granicę polsko-sowiecką“...

Gdyby był poprostu moje zdanie przytoczył dosłownie, nie mógłby w czytelnikach wywołać wrażenia, że może się z tem spierać, więc je... przerobił wedle swych potrzeb i w tem samem zdaniu, na podstawie tej przeróbki, mnie zarzuca nieprawdę.

3. Przytacza dalej moje zdanie (po zaznaczeniu, że przedstawiciele Kl. Nar., pisma Str. N., a wreszcie Dmowski w swych rozważaniach oświetlili pokojową politykę Polski wobec Rosji) następujące („M. Nar.“ nr. 17):

„— Pisma w Rosji sowieckiej, które poprzednio skwapliwie podawały wiadomości o owych szerzonych w Polsce nastrojach wojowniczych w związku z dniem św. Józefa i z rzekomemi tłumami uchodźców, podały następnie wiadomości o tych stwierdzeniach pokojowej polityki w Polsce“

I tu dodaje:

„— Powyższe zdania są dlatego przez profesora Strońskiego napisane, aby wmówić czytelnikowi, że prasa sowiecka uspokoiła się po artykułach Dmowskiego. I na tem polega szkaradny, haniebny fałsz profesora Strońskiego... Ta prasa sowiecka po artykułach p. Dmowskiego wprost wyła z radości, twierdząc, że teraz niema już wątpliwości, że Polska gotuje napaść na Rosję. Elementarne uczucie nietylko patrjotyzmu, lecz wprost przyzwoitej lojalności wobec państwa, nakazywało to, co zrobił p. Dmowski, najostrzej potępić“.

A tymczasem jest tak, jak ja powiedziałem. Pisma sowieckie podawały: 1) naprzód nastrojowe głosy w dziennikach polskich o dniu imienin i o tłumach uchodźców, 2) potem głosy z obozu narodowego, a przedewszystkiem Dmowskiego, o pokojowej polityce wobec Rosji, 3) potem głosy z obozu rządowego, stwierdzające w sporze z Dmowskim, że wogóle wszyscy w Polsce są za polityką pokoju z Rosją, a przedewszystkiem oświadczenie p. min. spr. zagr. Zaleskiego w tym duchu. I tak nastało uspokojenie.

Ale p. Cat-Mackiewicz ma właśnie w tym względzie bardzo niemiłe wspomnienie, gdyż pisał 18-go kwietnia b. r.:

„— P. Dmowski napisał pięć artykułów, sugestjonujących, że Polska przygotowuje wojnę, aby w ten sposób zmusić pułk. Sławka do wydania deklaracji, że o żadnej wojnie z Sowietami nie myślimy. Deklaracja taka byłaby niezgodna z naszemi interesami, upokarzająca i bezpośrednio potwierdzająca wszelkie najbardziej antypolskie oskarżenia Polski o militaryzm. Deklaracja taka musiałaby gabinetowi Sławka odrazu przynieść minus, bo stawiałaby ten gabinet w pozycji obwinionego, uzasadniającego swoją niewinność. Deklaracja taka byłaby w stosunkach polsko-bolszewickich wyraźnym dyplomatycznym sukcesem bolszewickim“.

I oto... tego samego dnia 18-go kwietnia b. r. ukazało się już u nas w doniesieniach z N. Yorku ogłoszone tam w przeddzień oświadczenie p. min. spr. zagr. Zaleskiego, dające właśnie to zapewnienie, że Polska nie myśli o wojnie, ani o udziale w żadnej wojennej awanturze.

Trudno by p. Cat-Mackiewicz po takiej przygodzie dziennikarskiej, w której zgóry osądził, że rząd p. Sławka działa na korzyść Sowietów, był w wesołem usposobieniu, ale jakoś trzebaby sobie radzić z tą żółcią w czterech ścianach, a nie wylewać w stronę innych.

Nazajutrz po tej napaści podał zawiedziony na rządzie p. Sławka dziennikarz obrazek z „Izwiestij“, mający przedstawić to, że o użyciu Polski do wojny z Rosją mogą myśleć wielcy handlowcy światowi, dodając zawsze niezawodnemi wyrażeniami („Słowo“ nr. 99 z 30-go kwietnia b. r.):

„ — Widzimy więc, że wszystkie niegodziwe sugestje, które przemycał p. Dmowski w swoich antypatrjotycznych artykułach, znalazły u bolszewików zrozumienie i uznanie“.

W pismach bolszewickich są dziesiątki obrazków, odnoszących się do p. Piłsudskiego: czy, w myśl zasad p. Mackiewicza, one mają być podstawą oceny?

*

Byłoby lepiej, gdyby ze strony t. zw. zachowawców z B. B. zaczepnem działaniem tego rodzaju nie wywoływano uwag o ich różnych poglądach i wynurzeniach, dotyczących stanowiska Polski wobec Rosji.

Z korzyścią dla nich, o niektórych niezbyt dawnych rzeczach wspomnę tylko bardzo ogólnikowo. P. Cat-Mackiewicz głosił już w swem piśmie, że stanowisko jego grupy wyrażone jest w określeniach, które po swem imieniu dawał Władysław IV: Król Polski, W. Ks. Litewski, Ruski, Wołyński, Kijowski, Siewierski, Czernichowski, Smoleński. A b. min. spr. zagr. ks. Eustachy Sapieha ogłosił sam uwagi o współdziałaniu Polski z Europą Zachodnią przeciw Rosji. Szczegóły i bliższe wskazówki na żądanie.

Natomiast z czasu ostatniego sporu przytoczę kilka zdań z pouczeń, udzielonych Dmowskiemu przez p. A. Piaseckiego, także zachowawczego posła z B. B. („Dzień Polski“ nr. 100 z 11-go kwietnia b. r.):

„ — Gdyby Bolszewia wojnę sprowokowała, to, czy się to podoba Gaz. Warsz. czy się nie podoba, będziemy musieli ją prowadzić. A czem w sferach finansjery światowej będzie większa świadomość tego, że doprowadzenie wojny do ostatecznego naszego zwycięstwa, byłoby interesem całej Europy, a także i Ameryki, tem skutki wojny mogłyby okazać się dla Polski mniej dotkliwe. Dlatego interesowanie się temi zagadnieniami sfer, nazwanych przez pana Dmowskiego komiwojażerskiemi, nie jest dla nas bynajmniej szkodliwe, powinniśmy nawet czynić wszystko ze swej strony, aby ewentualną rolę Polski całemu światu i wszystkim sferom należycie uprzytomnić...

Nie widzimy przytem potrzeby ogłaszania dziś *urbi et orbi desinteressement* Polski w odniesienie do republiki Ukraińskiej i Białoruskiej, które utworzyłyby się wówczas (w wypadku krachu politycznego dyktatury komunistycznej) na naszem pograniczu...

Trzeba rzeczy te ujmować realnie, zdając sobie z tego sprawę, że nie my, ani nawet nie Europa, bylibyśmy sprawcami wydarzeń, które mogą w Sowdepji nastąpić, a że od rozwoju tych wydarzeń i wpływu na ich skutki, jaki wywarłaby Polska, może zależeć nasz rozwój mocarstwowy. To też nawet pośrednie szerzenie defetyzmu jest robotą zgubną, szczególnie, że głębszy przewrót w Rosji, jak już wczoraj zaznaczyliśmy, z łatwością nastąpić może właśnie w ciągu roku najbliższego, w zależności od stopnia opanowania przez rząd akcji kolchozów. A przecież trudności rządu Sowietów nie wyczerpują się na sprawach ekonomicznych!

Nie wypowiadamy proroctw, uważamy jednak, że sytuacja nie pozwala nam zasypiać gruszek w popiele“.

A gruszki na wierzbie?

Albo te wywody... nic nie znaczą, albo... coś znaczą. Znaczą, w każdym razie, że także w głowach t. zw. zachowawców obozu rządowego roją się bezbrzeżne bałamuctwa. Rozważania Dmowskiego nie były niepotrzebne.

STANISŁAW STROŃSKI

IDEOWE PODSTAWY PRACY SPOŁECZNEJ

POŚRÓD rozkołysanych i rozpętanych namiętności, chaosu poglądów i haseł, wzajemnych zarzutów i podejrzeń, uzmysławiamy sobie wszyscy, że obecny stan jest nie do utrzymania. Powstaje pytanie, co dalej? Jaką iść drogą, a nawet czy wogóle istnieje droga wyjścia?

Jedni, wychowani w do niedawna jeszcze panujących ideach materjalistycznego światopoglądu, z którego wyrósł zarówno liberalizm, jak i socjalizm, we wszelkich swoich odmianach, skłaniają się ku pesymizmowi. Wierzą, że stosunki i warunki ekonomiczne ostatecznie decydują o rozwoju dziejowym, dyktując nieodmienne i twarde prawa historyczne.

W tem rozumowaniu dochodzi się ostatecznie, konsekwentnie do wniosku, że jeżeli możemy stwierdzić w pewnym okresie jakieś objawy, które występowały już kiedyś indziej, w takim razie należy oczekiwać i podobnych skutków.

Na poparcie tej tezy przytacza się różne przykłady, zaczerpnięte z historji, a nawet, jak wiadomo, opracowuje całe systemy historjozoficzne, których celem jej uzasadnienie i stwierdzenie.

Jeżeli chodzi o nasze czasy, przytacza się jako przykład uderzające pod wieloma względami analogje między tem, co dzisiaj przeżywamy, a rosnącym od początku I wieku chaosem świata starożytnego. Stwierdziwszy zaś podobieństwa, wywodzi się dalej, że skoro one istnieją, w takim razie i dalszy rozwój wypadków musi się logicznie potoczyć identyczną drogą. Innemi słowy, że stoimy wobec kresu t. zw. świata nowożytnego, że czeka nas nieodmienna i niedająca się odwrócić katastrofa.

Ludzie nie uznający materjalistycznego światopoglądu, świadomi, że warunki eknomiczne stanowią tylko jeden z elementów życia społecznego, a zatem i rozwoju historycznego, dochodzą jednak często do podobnych pesymistycznych i niweczących wszelką energję życiową i chęć do pracy, przypuszczeń.

Nie znajdując natychmiastowego rozwiązania dotkliwych i nieraz wysoce tragicznych przejść zarówno społeczeństw, jak i jednostek, patrzą ze słabnącą wiarą, z coraz większą nieufnością w przyszłość.

Czy jedni i drudzy, wychodząc z różnych zresztą założeń, nie są w błędzie? Czy grożące zewsząd nie-

bezpieczeństwa i trudności są niepokonalne, a obecne cierpienia ludzkości naprawdę cierpieniami agonji?

Z tego wszystkiego trzeba sobie zdać sprawę. Jeżeli bowiem istnieją w przyrodniczem znaczeniu nieugięte i żelazne prawa historyczne, działające mechanicznie i niezależnie od czynów i woli ludzkiej, w takim razie, przyjmując tego rodzaju założenie, musimy również uznać jako pewnik i jasne wynikające stąd konsekwencje.

Człowiek nie miałby wtedy wpływu na rozwój losów ludzkości, byłby skazany na uleganie bezapelacyjnym nakazom jakiejś nieosobistej *nemesis* historji. Wola jego byłaby w gruncie rzeczy obojętną, gdyż niezmienne prawa ekonomiczne przepisywałyby i normowały ściśle jego działalność.

I tutaj odrazu możemy zauważyć ciekawą sprzeczność między ostatecznemi logicznemi konsekwencjami materjalistycznej historjozofji, a praktyką jej wyznawców.

Skoro bowiem o wszystkiem decydują ostatecznie prawa ekonomiczne, od naszej woli niezależne, jeżeli one tworzą i wyciskają zasadnicze piętno na rozwoju historycznym, we wszystkich jego przejawach, nie wykluczając nauki, sztuki, pojęć etycznych i t. p., w takim razie zbędne staje się propagowanie tego lub innego światopoglądu, tej lub innej idei. Rozwój wypadków sam przez się powinien wystarczyć.

Tymczasem tak bynajmniej nie jest. Głosząc wszechmoc praw ekonomicznych, nietylko gorąco propaguje się różne, nieraz nader sprzeczne światopoglądy lub idee, ale nawet, jak to widzimy np. w Rosji, wszelki najsłabszy chociażby przejaw odmiennego zapatrywania dusi się, z bezprzykładna w dziejach brutalnością.

Takie postępowanie uzasadnia się przytem koniecznością obrony przed odmiennemi zapatrywaniami nowego ustroju, będącego ponoć wynikiem prawidłowego rozwoju i nieodmiennych praw historji!

Stwierdzenie tego faktu potrzeby propagandy i obrony swojej idei przez bolszewików jest dla nas, którzy nie wyznajemy materjalistycznego światopoglądu, niezmiernie cenne. Przekonywamy się bowiem, że propaganda i walka o jakąś ideę jest naprawdę rzeczą nieodzowną, a nadto, że treść ideologji posiada doniosłe i pierwszorzędne znaczenie dla społeczeństwa.

Ta okoliczność jest tem ważniejsza, że upoważnia nas do wniosku, iż ostatecznie w kształtowaniu się stosunków społecznych, a zatem i losów narodów, ideologji przypada rola rozstrzygającą.

Naturalnie celem uniknięcia nieporozumień muszę tutaj nadmienić, że nie jest ona jedynym czynnikiem, tworzącym historję, że obok niej istnieją i inne, które, jak np. ekonomiczne, geograficzne i t. p. zasługują zawsze na baczną uwagę, a nawet często w pewnej mierze mogą i modyfikować treść ideologji. Wiemy jednak również, że nieraz ta ostatnia wyprzedza znacznie stosunki, w dalszym ciągu nawet kieruje ich rozwojem. Często musi przytem staczać zaciętą wprost walkę z innemi ideologjami, z urządzeniami społecznemi i państwowemi, które jej pojawienie się uważają za niebezpieczne, wrogie, rewolucyjne.

Oczywiście wyniki takiej walki bywają różne. Cechuje je jednak zawsze wielki nakład wysiłku i poświęcenia, będących wynikiem wolnej woli jej bojowników.

I nie potrzebujemy szukać dalekich przykładów. Nasza porozbiorowa historja dowodzi jasno, jaka rola przypada w udziale ideologji i jak w walce z jej wojownikami nieuzbrojonymi i nierozporządzającymi odpowiedniemi środkami materjalnemi, zawodzą represje, któremi państwo rozporządza.

Widzimy więc, że ideologja jest rzeczą ważną, że może ona, oczywiście jeżeli jest realizowaną, stać się doniosłym historjotwórczym czynnikiem.

By jednak mogła się ona urzeczywistniać, na to potrzebuje ludzi, potrzebuje wyznawców i to wyznawców nie w obecnem, ale starochrześcijańskiem tego słowa znaczeniu.

Sympatycy nie wystarczają. I jak długo jakaś ideologja liczy tylko, chociażby największą liczbę tych ostatnich, nie odgrywa i nie może odegrać znamienniejszej roli.

A więc obok świadomości zadania i celu, które stanowią treść ideologji, konieczny jest świadomy i zdecydowany, nie zważający na osobiste trudy i niebezpieczeństwa, nie cofający się w razie potrzeby przed poświęceniem, wysiłek ludzki.

I wtedy dopiero, o ile ideologja staje się wiarą prawdziwą, spełniają się słowa wieszcza, który z rzadką jasnością rozumiał jej rolę, wołając w „Psalmie Nadziei“:

„Ni zmysł kupców, ni dłoń kata,
Przeciw prawdzie nie pomoże!“

Doszedłszy do przekonania, że ideologja jest podstawowym czynnikiem rozwoju historycznego, stanowi i ustala niejako jego wytyczną, a równocześnie otwiera wspaniałe pole działania dla świadomej woli jednostek, która wkońcu krystalizuje się w świadomą wolę narodu, musimy ponownie zwrócić wzrok ku wypadkom współczesnym.

Mówi się i zresztą każdy z nas sobie uświadamia, że żyjemy wśród niezwykłego chaosu pojęć. Wystarczy jeśli przeczytamy kilka dzienników, pójdziemy na parę zgromadzeń, albo przysłuchujemy się dyskusjom kawiarnianym. Słyszymy często i szumne i piękne hasła, które odgrywały przed niedawnemi jeszcze czasy rolę doniosłą. Były sztandarem skupiającym rzesze, pobudzając je do ofiarnego czynu.

Obecnie natomiast nie znajdują już bojowników i wyznawców, ale tylko zwolenników, którzy z większym lub mniejszym zapałem i przekonaniem je powtarzają.

Pośród starszej generacji, wśród pesymistów odzywają się ustawicznie głosy, że obecne nowe pokolenie skarlało, zmaterjalizowało się, stało się niezdolne do poświęcenia i wysiłków.

Zarzut to poważny i jeżeliby był prawdziwym, musielibyśmy dojść do przekonania, że istotnie katastrofa, o której wspominaliśmy na wstępie, jest nieuniknioną. Dowodziłby bowiem, że chęć i wola do życia, które w czasie długiej niewoli skutecznie stawiały czoło największej, godzącej w nasze istnienie sile materjalnej, obecnie zamarły lub zamierają. A z historji wiemy, że dopiero taki stan i nastrój, tego rodzaju duchowy rozstrój i zatrucie, powodują upadek.

Zacznijmy od ostatniego zarzutu: zaniku zdolności do poświęcenia.

Czy jest tak naprawdę? Wśród jakich okoliczności i gdzie ten objaw możemy stwierdzić?

Przecież tak jeszcze niedawno, bo w r. 1920, i to po tylu i tak ciężkich ofiarach, ponoszonych od roku 1914, zdobyliśmy się na wielki wysiłek w obronie granic, który zjednoczył w jednym szeregu chłopa, robotnika i inteligenta.

Mimo więc cierpień, przeżywanych od r. 1914, które w innych krajach wywołały wśród mas tak groźne i niepokojące objawy, Polska w r. 1920 posiadała jeszcze dostateczny zapas prawdziwej ideowości, ideowości ofiarnej i czynnej. W tym okresie nowe pokolenie młodzieży napewno nie zachowało się gorzej, aniżeli te, które przedtem walczyły o niepodległość. Dało ono tem samem dowód, że idea niepodległości jest mu niemniej drogą i cenną.

Pozostawałby więc tylko krótki, bo zaledwie ośmioletni okres, jeżeli krytycy nie są w błędzie, w którymby nagle zamarła zdolna do czynu i poświęcenia żywotność.

Nie byłoby to oczywiście wykluczone. Na czem jednak opierają się podobne przypuszczenia, jakież objawy za tem przemawiają?

I oto okazuje się, że poza ogólnemi narzekaniami na wzrost materjalizmu wśród młodzieży, przesadnemi utyskiwaniami na obniżanie się poziomu moralnego i t. p., właściwie niczego konkretnego usłyszeć nie można.

Nie myślę naturalnie twierdzić, że wszystko przedstawia się jak najlepiej. Zdaję sobie jasno sprawę z licznych i poważnych niedomagań, których lekceważyć nie wolno. Nie wierzę jednak w nieprzerwany wzrost zła w naszem społeczeństwie.

Nie przeczę, że wśród rzesz młodzieży troska o chleb powszedni, w dosłownem tego słowa znaczeniu, odgrywa obecnie większą rolę, aniżeli przed rokiem 1914. Nie jest to jednak i nie może być poczytywane jako objaw wzrostu materjalizmu. Fakt ten jest smutną koniecznością, ściśle związaną z rosnącemi gospodarczemi trudnościami całego kraju i całej Europy. Jest wynikiem ciężkiego brzemienia nędzy wśród mas młodzieży uczącej się, brzemienia w tych rozmiarach zgoła nieznanego poprzednim pokoleniom.

W sposobie jednak, w jaki zarówno znaczna część młodzieży, jak i rzesz pracujących znosi niedostatek, w cierpliwości, której od lat mamy liczne przykłady, a jakich niepodobna znaleźć u narodów zachodnich, widzę zgoła co innego, aniżeli liczni pesymiści.

Tkwi w tem wielka potencjalna siła i ta sama zdolność do poświęcenia, której niedawna przeszłość dała tyle i jasnych dowodów.

Pod jednym tylko względem krytycy mają słuszność, a mianowicie gdy utrzymują, że wiele z haseł, ktore porywały za sobą rzesze przed rokiem 1914, i w czasie wojny światowej, dzisiaj już straciło swą siłę atrkcyjną. Możemy przytem stwierdzić, że sprawa przedstawia się podobnie, gdy weźmiemy pod uwagę kierunki lewicowe i prawicowe.

Tylko, że miast z tego powodu utyskiwać nad zanikiem idealizmu, może byłoby bardziej wskazane zapytać, czy przyczyny tego zjawiska nie należy szukać gdzieindziej.

Wiele przecież z tych haseł odpowiadało potrzebie czasów niewoli. Reprezentowały podówczas żywotną treść, czyniły zadość głównej potrzebie utrzymywania i pogłębiania poczucia narodowego, a zatem zachowania życia narodu.

Z chwilą zdobycia niepodległości, ukończenia okresu niewoli, niejedno hasło utraciło w zupełności, lub w znacznym stopniu swoją treść.

Dzisiaj nie chodzi już przecież o odzyskanie państwowości, ponieważ tę posiadamy, ani też o obronę szerokich mas przed wynarodowieniem, przynajmniej na przeważnej części obszaru Rzeczypospolitej. Natomiast zjawiły i ciągle zjawiają się potrzeby i problemy nowe i — powiedzmy otwarcie — daleko trudniejsze i bardziej skomplikowane, aniżeli dawne.

Chodzi o uporządkowanie stosunków wewnętrznych, ustalenie społecznych, wzniesienie i oparcie na silnych podstawach życia narodowego w ramach własnego państwa.

Tym potrzebom dawne ideologje, dla których utrzymanie bytu narodowego było i musiało być rzeczą główną, tylko niedostatecznie mogą zadość uczynić. Konsekwentnie i wartość haseł pochodzących z tej epoki zmalała.

I tutaj widzę główny ciężar zagadnienia. Jasne sformułowanie szerszej ideologji, będącej wyrazem nie potrzeby obrony najdroższych i najbardziej podstawowych dóbr narodu niewolnika, ale zdolnej ożywić całe życie i wypełnić jego treść, narodu pana, stało się rzeczą nieodzowną.

Nie chcę przez to powiedzieć, jakoby ideologja z czasów niewoli, która zwycięsko stawiała czoło przez tyle generacyj grożącym zewsząd niebezpieczeństwom, stała się dzisiaj już tylko drogą pamiątką historyczną. Posiadamy w niej bogate skarby, cenne drogowskazy, o których zapominać nie wolno! Przejawia się w niej w ujęciu naszych wieszczów duch narodu w najszlachetniejszem znaczeniu, bo i w narodowem i ogólno ludzkiem równocześnie.

I tutaj niech mi będzie wolno zwrócić uwagę na znamienny objaw, a mianowicie na wzrost zainteresowania problematami etycznemi i religijnemi, który wszędzie możemy zauważyć. Pod tym względem obecne pokolenie myślącej młodzieży może podświadomie zrywa z niedawną przeszłością, w której religja, zwłaszcza wśród sfer inteligentnych, odgrywała rolę minimalną.

Stwarza to oczywiście poważny przedział, rodzi nieraz i rozdźwięk, powoduje, że t. zw. starsi tracą zaufanie, że obie generacje mówią różnym językiem.

Tego szerzącego się jednak rozbratu z pozytywizmem nie możemy uważać za zło, ani za dowód zaniku idealizmu. Przeciwnie, trzeba powiedzieć, że obecna generacja zaczyna nawiązywać łączność z trwałemi wartościami spuścizny ideowej wielkich wieszczów, którzy jak Mickiewicz i Krasiński wyznaczali Polsce szczytną rolę realizatorki wiecznych ideałów chrześcijańskich.

Wiara w takie posłannictwo, chęć jego wypełnienia, zaświecenia innym narodom przykładem w boju o urzeczywistnienie najwyższych dóbr moralnych, nie zaś szukanie u obcych krótkotrwałych i zawodnych haseł i recept, powinna się stać jądrem naszej ideologji mocarstwowej.

Zapewne może się to zdanie wydać fantastyczne, cel zbyt daleki i trudny, może nawet ktoś zapyta, czy prawdopodobna jest pełna realizacja wielkiej społecznej nauki Chrystusa?

Nie przeczę, że przepojenie społeczeństwa tą starą, a zawsze nową ideologją, której treść jest pełna i odpowiada potrzebom pełni życia, wymaga wiele pracy, wysiłku i poświęcenia.

Ale tylko tą drogą zdobywa się w historji wyniki trwałe, tworzy się ją i buduje na silnych podstawach. Kto chce być na tej niwie pożytecznym pracownikiem, nie dającym się uwieść błyszczącym i ułudnym, na krótką metę obliczonym powodzeniom, musi być świadomym wielkiego celu, naprawdę zapomnieć o sobie, wyzbyć się miłości własnej, a ukochać głęboko naród, i w ten sposób służyć całej ludzkości!

Podobnie jak potrzeba wojenna i to zadanie wymaga całego człowieka, żąda złożenia mu w ofierze swego życia.

I sądzę, że najlepiej uzmysłowimy sobie wymogi osobiste, nieodzowne w pełnieniu tej szlachetnej służby, jeżeli przypomnimy sobie słowa Krasińskiego:

„Nie chciej jak bydlę gnić nad paszy łanem!
Z tej strony grobu przed zmartwychwstań wschodem
Bądź ty w człowieku męką z niebios rodem.
Bądź arcydziełem nieugiętej woli:
Bądź cierpliwością, — tą panią niedoli —
Co gmach swój stwarza z niczego, — powoli!
Bądź tą przegraną, — której cel daleki,
A która w końcu wygrywa na wieki!
Bądź spokojnością — wśród burz niepokoju —
W zamęcie miarą — i strojem w rozstroju —
Bądź wiecznem pięknem — w wiecznym życia boju!
Dla podłych tylko i faryzeuszów
Bądź groźbą, — gniewem — lub świętem milczeniem!
I nie miej żadnych z obłudą sojuszów!
Dla wszystkich innych bądź anielskiem tchnieniem“.

Ten kto podejmuje się wielkiego trudu i urzędu uświadamiania innych, uświadamiania, a nie rozagitowywania dla jakichś specjalnych o poziomych celach koncepcyj, musi przedewszystkiem naprawdę i bezinteresownie przejąć się wielką ideologją Chrystusową.

(Dok. nast.) LEON HALBAN

CZY „PAMIĄTKA SIENKIEWICZOWSKA"?

W NIEKTÓRYCH pismach prowincjonalnych— raz tu, raz tam — zamieszcza przygodnie, co pewien czas, zabawne „korespondencje“ z Włoch ząbkujący dziennikarz, używający szumnego, arcyromantycznego pseudonimu „Gustaw Lawina“. Zabawnemi nazwać się godzi owe ekulubracje nie dlatego, jakoby zawierała się w nich szczypta dowcipu, lecz dlatego, że kto zna choć trochę Włochy i mowę włoską, może porządnie się ubawić różnemi nieporozumieniami, w elukubracjach tych zawartemi. „Stało“ w nich naprzykład, że Papież celebrował mszę wieczorem (!) a po mszy obdarzał panie „bukietami róż"! Oczywiście p. Lawina nie zrozumiał wyrazu „*rosario*", który poprostu oznacza... różaniec... Kiedyindziej znów, w niesmaczny sposób obazgrawszy sądziwego malarza— Polaka, mieszkającego w Rzymie, jakoby wyprawiał orgje pijackie w słynnej „grocie tarpejskiej", ów p. Lawina podawał jako swój własny dowcip anegdotkę o „pątniku Polaku", który „przed kilkoma laty“ w tejże „grocie tarpejskiej" wyraził się o winie *Lacrima Christi*: „Szkoda że Chrystus Pan nie płakał w Polsce"; istotnie szkoda, bo zapłakałby i nad bezceremonjalnością p. Lawiny, który całą tę anegdotę — zresztą o jezuicie polskim z wieku XVI — przepisał dosłownie ze znanego podręcznika ks. F. Gianniniego „*Come s'impara l'italiano*" (cz. II. Warszawa, Gebethner i Wolff).

Otoż p. Lawina gościł przez czas jakiś w t.zw. „willi polskiej“ (*villa dei polacchi*) w Albano pod Rzymem i tam stał się autorem czy kolporterem plotki, która nabiła ćwieka w głowę kilku osiadłym w Rzymie Polakom. Ponieważ można się spodziewać, że w lawinie fejletonów p. Lawiny i ta ploteczka wartko się potoczy i gotowa znów kogoś „zasypać", więc gwoli ostrożności piszę o niej już zawczasu. Chodzi tu bowiem o rzecz poważną — o „*Quo vadis*“ Sienkiewicza.

Wspomniana „willa polska“, położona — *Albanos prope lacus* — nieopodal jezior Albano i Nemi, a więc może w miejscu, gdzie za Horacego istniała willa Pawła Maksyma — nosi jeszcze drugą nazwę: *villa del Cinque*, od dawnego właściciela, który ją w r. 1886 sprzedał OO. Zmartwychwstańcom. W rękach tego zakonu pozostaje willa ta po dziś dzień, jednakże obecnie straciła dawny swój charakter i znaczenie. Dawniej — za czasów zaborczych — gromadzili się tu księża - Polacy, przeważnie z zaboru rosyjskiego, bawiący—często pod fałszywemi nazwiskami lub za cudzym paszportem — na studjach w Rzymie; nieraz uciekali tu na czas pewien przed czujnością władz rosyjskich i ludzie świeccy, zaglądali też nierzadko w to zacisze i turyści polscy, pewni wypoczynku i polskiej gościnności. Ktoś powinien kiedyś napisać historję tej willi, która kryje w sobie niemało ciekawych wspomnień; dziś zaniedbana, służy za przygodną wilegjaturę księżom polskim, a niekiedy i innej narodowości; dziczeje piękny ogród, ściany miejscami oblatują z tynku...

Na jednej z tych ścian wisi spora mapa (rozmiary 103—150 cm.), przedstawiająca Rzym starożytny sposobem niejako projekcyjnym, gdyż ważniejsze budowle — jak to było dawniej i jeszcze teraz bywa niekiedy w zwyczaju — są przedstawione nie w rzucie poziomym, lecz jakby widziane ukośnie z góry. Karta ta nosi napis: „*Antiquae urbis imago accuratissime ex vetustissimis monumentis formata a Pyrrho Ligorio 1651. Excudavit Romae Michael et Franciscus Framchini*“. Jako zabytek antykwaryczny warta jest bacznego obejrzenia, to też niejeden z gości bawiących w „willi polskiej“ choćby dla ciekawości rzuci na nią okiem. Zwrócił na nią uwagę i p. Lawina i tak długo jej się przyglądał, aż wkońcu wysnuł niezbity wniosek: „Oto jest ten plan Rzymu, którym posługiwał się Sienkiewicz, gdy pisał *Quo vadis*“. Twierdzenie to, dyskutowane wobec kilku OO. Zmartwychwstańców, wnet przybrało formę bardziej konkretną: oto Sienkiewicz w czasie pisania „*Quo vadis*" miał często zajeżdżać do Albano, gdzie odwiedzał swego przyjaciela, ks. Pawlickiego, by zatrzymawszy się przed ową mapą słuchać jego objaśnień o topografji Rzymu...

W ten sposób urosła legenda o „Sienkiewiczowskiej mapie Rzymu“, rzekomo nader ważnem źródle „*Quo vadis*“. Ponieważ właśnie w lecie 1929 r. przyjechałem do Rzymu na studja, odno-

szące się do życia i twórczości Sienkiewicza, to też z zaciekawieniem wybrałem się aż dwukrotnie do Albano, by zbadać na miejscu tę sprawę. Stwierdziłem przedewszystkiem odrazu rzecz jedną: iż księdza Pawlickiego nie było w Rzymie ani w Albano w czasie, gdy powstawało *„Quo vadis“*. Powieść tę bowiem — jak mi wiadomo z listów Sienkiewicza do Konstancji Morawskiej i inn. — zaczął Sienkiewicz opracowywać w r. 1894 (w marcu 1895 zaczęła się drukować w „Gazecie Polskiej“), tymczasem ks. Pawlicki wyjechał z Rzymu w roku 1887 i nigdy już do niego nie wrócił. Ponieważ Zmartwychwstańcy, jak wspomniałem, nabyli willę albańską w r. 1886, więc bytność w niej ks. Pawlickiego i jego *rendez-vous* tamże z Sienkiewiczem mieścić się mogły tylko w obrębie tego jednego roku 1886 — 7, co zresztą nie jest rzeczą wykluczoną. W tym to przecie czasie — po ukończeniu „Pana Wołodyjowskiego“ — Sienkiewicz rozpoczyna nowy okres wojażerski, otwierając go właśnie podróżą do Włoch. Pod znakiem Włoch są przecie dwie powieści — „współczesne“, a mimo to ideowo wiążące się ze „starożytnem“ *„Quo vadis“*, jakby w nową trylogję: — „Bez dogmatu“ i „Rodzina Połanieckich“. I właśnie w „Rodzinie Połanieckich“ spotykamy wyraźny dowód, że Sienkiewicz był i w Albano. Oto co w jednem miejscu mówi pani Osnowska: „Czy państwo byli w Albano i w Nemi?... Mąż mój nie chce wierzyć, że zakochałam się w Nemi. A ja się zakochałam. Jak tam byłam, to mi się zdawało, że tam jeszcze chrześcijaństwo nie doszło, że nocami wychodzą jacyś kapłani i odprawiają nad jeziorem pogańskie obrzędy. Krótko powiem: cisza i tajemnica — oto Nemi“.

Odejmijmy tym słowom kobiecą egzaltację i otrzymamy — wrażenia osobiste samego Sienkiewicza. Autor „Połanieckich“ znał więc z autopsji jeziora albańskie, może i zaglądał nieraz do pobliskiej willi polskiej, jednakże celem głównym wojażu nie musiała być chyba owa mapa Rzymu. Oddajmy jednak głos znów pani Osnowskiej; oto już za pierwszem spotkaniem miła ta osóbka oświadcza Połanieckim „że się upaja Rzymem, że czyta *Cosmopolis*[1]), że jest zakochana w willi Doria, w widoku Pincio, że ma nadzieję, iż razem zobaczą katakumby, i że zna dzieła Rossiego w przekładzie Allarda“. Zetrzyjmy znowu ze słów tych powłokę kobiecej egzaltacji, a będziemy mieli — nowe wyznania samego Sienkiewicza. Przyszły twórca *„Quo vadis“* już na parę lat zawczasu zgłębiał literaturę, która w mającem powstać dziele mogła mu być przydatną. On to więc sam czytał *„Cosmopolis“* i znał dzieła Rossiego[2]), a raczej wielkie dzieło cav. B. de Rossi *„La Roma sotterranea cristiana“*, które wyszło w trzech wielkich tomach (w latach 1864 — 1877); z tego wszak dzieła wziął później imię Ursusa... Co do Allarda małą omyłkę popełnia pani Osnowska; historyk ten bowiem, autor wspaniałego dzieła *„Histoire des persécutions pendant les deux premiers siècles“* (1885), stanowiącego jedno z najważniejszych źródeł *„Quo vadis“*, nie tłumaczył samego dzieła de Rossiego, tylko przerobił skróconą tegoż edycję angielską (*„Rome souterraine. Resumé des découvertes de M. de Rossi dans les catacombes romaines, et en particulier dans le cimetière de Calliste par J. Sp. Northcote et R. Brownlow. Traduit de l'anglais, avec des additions et des notes, et augmenté d'un supplement par le traducteur“).*

W każdym razie widzimy, że w latach 1887—1894 Sienkiewicz swoją znajomość Rzymu (i wogóle świata starożytnego) opiera na dziełach poważnych i to niemal świeżo podówczas wydanych. Listę podaną przez p. Osnowską, możnaby pomnożyć conajmniej dziesięciokrotnie. Przecież mentorem Sienkiewicza w chwili powstawania *„Quo vadis“* był nie kto inny, tylko sam prof. Morawski, który np. w maju 1894 posłał na ręce Sienkiewicza rękopis swej rozprawy o Petronjuszu, przeznaczonej dla „Bibljoteki Warszawskiej“ (myli się F. Hoesick, twierdząc w swej cennej książce, że to on zwrócił uwagę Sienkiewicza na rozprawę Morawskiego już po jej wyjściu w „Bibljotece“). Dzięki uprzejmości rodziny prof. Morawskiego część korespondencyj tych dwu wielkich pisarzy miałem w swych rękach, więc erudycję Sienkiewicza (nad którą tyle zachwytów później wypowiedział wybitny archeolog włoski, Orazio Marucchi) stwierdzić mogłem naocznie. Dlatego też skłonny jestem powtórzyć słowa, które mi rzekł jowialny zwierzchnik domu Zmartwychwstańców w Rzymie, ks. Olejniczak: „E, panie, Sienkiewicz był człek uczony, więc chyba miał do *„Quo vadis“* źródła lepsze i świeższe, niż ta spróchniała mapa!“.

Zupełna racja! Jednakże warto zapytać, jaki to plan Rzymu mógł mieć przed oczyma Sienkiewicz, pisząc *„Quo vadis“*. Odpowiedź na to znajdujemy właśnie we wspomnianej korespondencji z Morawskim, w liście pisanym z Warszawy po ukazaniu się pierwszych odcinków powieści w „Gazecie Polskiej“: „Planu Rzymu nie mam dotąd dobrego, jakkolwiek mam ich dwa. Oba marne — jednak oba wskazują, że z *Vicus Apollinis* można było przejść nietylko do świątyni Apollina, ale i na *via Sacra*. Toż samo pisze Favrar. Z Boarium połączyłem też *Vicus* z powodu istotnie lichego planu, na którym wszystko jest blisko“.

Widzimy więc, że — naprzekór domysłom p. Lawiny — Sienkiewicz, piszęc *„Quo vadis“*, nie musiał bynajmniej jeździć do Albano, by obejrzeć przestarzały, siedemnastowieczny plan Rzymu, skoro w Warszawie miał pod ręką aż dwa „takowe“, prawda że nie doskonałe, ale zawsze nieco nowsze i zgodniejsze ze stanem badań archeologicznych. Że kiedyś przedtem bawiąc w „willi polskiej“ mógł się nawet przyglądać owemu staremu planowi i nawet go komentować, to jeszcze nie powód, bo należało się bardzo roztkliwiać nad ową „pamiątką“. Bardziej na nazwę „pamiątki“ zasługiwałaby np. księga hotelowa *„albergo Minerva“*, w którym zatrzymywał się często Sienkiewicz podczas swych pobytów w Rzymie.

JÓZEF BIRKENMAJER

---

[1]) Oczywiście chodziło o słynną powieść Bourgeta. „Sienkiewicz uważał ją za najlepszą powieść autora „Ucznia“, a szczególnie podobała mu się atmosfera Rzymu, która jego zdaniem doskonale w y c h o d z i ł a z kartek tej książki“ (Ferd. Hoesick „Sienkiewicz i Wyspiański“ str. 47).

[2]) W „Bez Dogmatu“ (wyd. zbior. 1899 T. VII, str. 12) mówi Płoszowski o swym ojcu: „Przed kilkunastu laty zawarł ojciec znajomość a wkońcu przyjaźń z wielkim Rossim, z którym całe dni przepędzał w katakumbach... doszedł wkrótce do takiej znajomości Rzymu, że niejednokrotnie zadziwiał samego Rossiego swą wiedzą“. Nadmienię, że podobną rolę, jaką grał wobec Płoszowskiego Śniatyński, odgrywał w stosunku do Sienkiewicza zaprzyjaźniony z nim genjalny malarz Siemiradzki, który dał Sienkiewiczowi pierwsze natchnienie do *„Quo vadis“*, a przedtem wtajemniczał go w piękno „Rzymu starożytnego“.

NA WIDOWNI

Rzecz o modelach wychowania. — Wychowywać trzeba naprzód pedagogów. — Gdzie szukać modelu wychowania? — O zaletach i charakterze. — Wzory charakteru są u ludu, cywilizacja je stylizuje. — Przypatrzcie się Mazurowi.

WARUNKIEM, decydującym trwałości i kwitnienia Polski jest odpowiadający swoim zadaniom obywatel. Polska — to Polacy. Trzeba ich wychować, a to nie może być zadaniem tylko fachowców. Zadania wychowawcze społeczeństwa przekraczają granicę wpływów zawodowego nauczyciela. W zeszłym tygodniu zwracałem uwagę na tendencję rodziny współczesnej zrzucania odpowiedzialności za wychowanie dzieci na pedagogów. Skłonności tej ulega całe społeczeństwo, zdając się całkowicie na szkoły.

A my wiemy, co to jest zawód, zostawiony bez kontroli ideowej narodu. Pedagoga trzeba też wychowywać i musi to robić idea narodowa. Z zastępów np. naszych nauczycieli szkół powszechnych wytworzyła się cała klasa, zorganizowana w partję polityczną, czerpiącą programy wychowania ze źródeł nieraz mętnych. W czasach, kiedy ludzie ze sfer, kierujących życiem umysłowem i moralnem społeczeństwa, organizują się w związki zawodowe, jak konduktorzy tramwajowi, z myślą o wytworzeniu z siebie masówki klasowej, dostęp do nich ideowy bywa udaremniony przez demagogów. Ale już to samo zniewala społeczeństwo do bacznej kontroli systemu wychowania publicznego. System ten musi być czemś stalszem i bardziej odpowiedzialnem, niż przygodny prąd w nauczycielstwie lub w ministerjum, obsadzanem przez polityków, nie budzących nieraz żadnego zaufania. Szerzyć trzeba w społeczeństwie świadomość wychowawczą, stanowiącą jeden z najważniejszych wątków tego, co nazywamy myślą narodową. Wyrwać myśl wychowawczą z rutyny kół zawodowych i z pod wpływów tajemnych na te koła oddziaływań — i ożywić ją ambicjami twórczemi narodu, który chce z siebie zrobić indywidualność swoistą— oto pilne zadanie naszych czasów.

W porzednim zeszycie „Myśli Narodowej" p. Z. Janicki (pseudonim ten ukrywa jednego z wybitnych pedagogów) postawił taką tezę:

„Bez ściślejszego rozwiązania zagadnienia naszej psychiki narodowej nie może być mowy o gruntownym planie wychowania narodowego. Niedość formułować cele, kreślić ideał obywatela, jaki nam dziś i w bliskiej przyszłości jest potrzebny ze względu na położenie naszego narodu i państwa oraz przewidywane lub upragnione drogi jego rozwoju. Wszystko to są zamki powietrzne, o ile się nie potrafi ściśle odpowiedzieć na pytanie, jakim materjałem ludzkim rozporządzamy i jakiemi środkami z tego danego materjału, przy istniejących warunkach i wpływach środowiska, możemy tworzyć najwyższe możliwe wartości".

Autorowi powyższych słów dała do myślenia dyskusja na jednem z zebrań Tow. edukacji narodowej (*nb.* bardzo pożytecznego), na którem stawiano tak rzecz, jakby zalety i wady charakteru polskiego, które należy pielęgnować lub tępić, były czemś znanem dokładnie. A więc wymieniono w kategorji zalet: umiłowanie swobody, gotowość do poświęceń, odwagę, rycerskość, a w rubryce wad: niezdolność do długotrwałych wysiłków, niekarność społeczna, duch koterji, nałóg konspirowania. Jest to istotnie zbiór dowolnych rysów, powierzchownie zaobserwowanych, świadczący o tem, że nie bardzo zastanawialiśmy się nad sobą. Zaczynamy się dopiero przypatrywać sobie. I właściwie niema w tem nic dziwnego. Pożegnaliśmy się z wolnością w 18-m wieku, kiedy narodem była tylko — szlachta, która zbytnio w psychologję się nie bawiła. W niewoli nie byliśmy sobą w całej pełni, żyliśmy psychiką nienormalną, nie sprzyjającą procesowi samopoznawania: albo egzaltowana gloryfikacja zalet, albo pesymistyczne zwątpienie o sobie. Teraz dopiero dosłownie „przychodzimy do siebie" — i nie możemy się rozpoznać.

Dlaczego? Przedewszystkiem dlatego, że my dzisiejsi jesteśmy czem innem, niż onegdaj, przed tą wczorajszą niewolą. Dzisiaj naród — to już nie szlachta tylko. To już pospolite ruszenie psychiczne. Parokrotnie zwracałem już na to uwagę[1]) i nikt mnie w tem nie podtrzymał, że katalożek naszych zalet i wad trzeba poddać rewizji i na nowo urobić o sobie wyobrażenie.

Rzućmy okiem na powyższy, a tak popularny w potocznej nauce o Polaku, spis zalet i wad. Były to w swoim czasie łatwe do podpatrzenia znamiona psychiki szlacheckiej[2]) a jednak niezbyt trafnie sformułowane. Temi zaletami, jak umiłowanie swobody, gotowość do poświęceń — sama szlachta samochwalczo głowę nam nabiła, a wady uprzytomniliśmy przy pomocy powieściopisarzy później; a gdy się jedno z drugiem zestawi, to się pokaże, że co szlachta nazywała „umiłowaniem swobody" będzie właśnie ową wadą „niekarności społecznej".

Na morzu dowolności sądów o charakterze Polaków kierować się trzeba busolą, którąby przynajmniej co do dwu rzeczy orjentowała: 1) że nie o wyliczanie zalet i wad chodzi, lecz o zbadanie charakteru, co nie jest jednoznaczne i 2) że nie można o Polaku dzisiejszym wnioskować na zasadzie wyobrażeń o szlachcicu z XVIII w. Trzeba mieć pogląd na charakter ludu polskiego.

Co do pierwszej kwestji tyle tylko powiem, że lepiej myśleć o właściwościach, a nie bawić się w zalety i wady. Można mieć zresztą mnóstwo zalet, a nie przedstawiać żadnej wartości życiowej. Znamy przecież ludzi t. zw. „złotych", „choć do rany przyłożyć" i t. p., którzy są nieużytkami, nawet ciężarem społeczeństwa. Ilość zalet w charakterze niema znaczenia; ważny jest natomiast stosunek sił psychicznych, decydujący o jego strukturze. Chodzi o to: 1) jakie są w naturze Polaka tendencje i możliwości, żeby w sobie ustalił charakter, to znaczy zdatność kierowania się zasadami, leżącemi w podstawie cywlizacji bez uszczuplania swojej indywidualności i 2) co wychowanie ma w tym względzie do zrobienia.

Co się zaś tyczy przeciętnego Polaka, który przypada dzisiaj według skali społecznej na górną sferę ludową, owe tendencje i możliwości są — według mnie — doskonałe. Klucza do charakteru w społeczeństwie nowoczesnem szukać musimy nie tyle w cnotach rycerskich, ile w psychice pracy. W żadnym zaś razie nie można uogólnić na całe społeczeństwo polskie tych właściwości, które się

---

[1]) Ob. szkic w dodatku do dzieła pośmiertnego Lucjana Zarzeckiego: „Wychowanie narodowe". Warsz. 1926, str. 419 i nast.

[2]) Por. prof. W. Sobieski: Skrzydła i pęta ducha polskiego. „Myśl Narodowa" 1926, I, str. 242, 259, 275.

wytworzyły w warstwie szlacheckiej, oddającej się rolnictwu w czasach poddaństwa włościan.

Wśród ludu istnieją zapewne różnice w temperamentach, ale za normę dobrego stylu (charakteru) polskiego ludu możemy uznać typ mazurski, który w psychice przyszłej Polski najwięcej zaważy.

Poznać właściwości duchowe mazura byłoby dla celów wychowania ogólnego rzeczą bardzo ważną. Nie wahałbym się tego układu psychicznego stawiać za wzór. Natomiast wytępić należy staroświeckie modele charakterów słabych, przekazywane z czasów próżniactwa i swawoli sfer szlacheckich. Tej głównej wady, którą nas rujnowała szlachta, a którą nazywamy brakiem wytrwania, lekkomyślnością, słomianym ogniem i t. p. — modelowi chłopa mazurskiego zarzucać nie podobna. Polak tego wzoru jest bardzo pracowity, wytrwały, nawet zaciekły w dochodzeniu celów, roztropny, karny, zasadniczy, bitny. Natura nadzwyczaj bogata, pionierska, do wszystkich robót zdatna i podatna do kształcenia. Można z niej wytwarzać doskonałe mieszczaństwo, świetne wojsko, solidną inteligencję, żarliwe duchowieństwo (lud to bowiem z natury religijny).

Mazur nie miał jeszcze swego złotego wieku, ale będzie go miał. Rozległe jego zasięgi od Pomorza do kresów wschodnich, wciąż poszerzające się przy mazurskim zmyśle kolonizatorskim, zakwitną z czasem nie gorzej, niż dawniej Małopolska. Bogate typy Paska, Sarbiewskiego, Skargi, Norwida starczą na najbardziej wybredne wytwory ducha nowożytnego.

I tutaj wielkie zadanie wychowawcy: przerwać manjerę wychowywania ludzi na wzór inteligenta z czasów upadku Polski. Zdaje się, że w tym celu należałoby przedewszystkiem ująć w pewne karby wpływy literatury romantycznej i kultu historycznego czasów upadku. Wolałbym, żeby do literatury przeszło od ludu mazurzenie, niż żeby do niego przechodziło z literatury mazgajstwo.

Z radością mogliśmy stwierdzić, że lud nasz w sposób naturalny wkracza na tory kultury polskiej, którą wytworzyła szlachta i we wszystkiem rad naśladuje sfery wyższe. Otóż te sfery wyższe trzeba nagwałt uporządkować, aby nie rozkładały charakteru, jaki wnosi z sobą lud polski do cywilizacji, zawsze o tem pamiętając, że siła duchowa (charakter) polega na dobrej konstrukcji, nie na ilości. Ilość wiedzy, wysokość ogłady, skala komfortu nie czynią z ludzi warstwy wzorowej; za wzór służyć powinni kulturalni reprezentanci charakteru narodowego.

Jeżeli tworzyć mamy sztukę z pierwiastków rodzimych, jeżeli ta tylko sztuka ma szanse rozwoju, w której doświadczenie psychiczne narodu upust swój znajduje, to tembardziej w tworzeniu człowieka obowiązywać nas musi prawo rodzimości.

Najlepszy układ charakteru, w zarodzie swoim, w zasadzie konstrukcyjnej, znaleść możemy w typie ludowym w postaci instynktu. Cywilizacja niech go stylizuje. Nie kształćmy więc dzieci na wzorach obcych, bo nie Anglikami mają być, ani Francuzami, ani Niemcami; Polskę zbudować można tylko z Polaków i w tym stylu, jaki od przyrodzenia i historji jest wskazany.

ZYGMUNT WASILEWSKI

ZE ŚWIATA

ROSJA SOWIECKA WIDZIANA PRZEZ WŁOCHA

Rewolucja rosyjska, jako jeden z najbardziej doniosłych wypadków historycznych obecnej doby, stale budzi zaciekawienie wśród pisarzy politycznych i badaczy społecznych, z których wielu udaje się osobiście do Rosji, by poznać na miejscu, o ile podobna, istotny stan rzeczy. Między innymi w tych celach zwiedził też Rosję w roku 1928 Guido Puccio, współpracownik rzymskiej „*Tribuny*" i jeden z najwybitniejszych dziennikarzy włoskich. Wrażenia tam doznane i refleksje, jakie mu nasunęła owa podróż, opisał za powrotem do kraju[1]).

W obozie przeciwników sowieckiej rewolucji istnieje już dość obfita literatura o niej, lecz pośród książek dobrych jest także sporo miernoty bez wartości, bądź wskutek płytkiego lub błędnego zgoła ujmowania przedmiotu, bądź z powodu ciężkiej i nudnej formy. Dlatego też, mimo ustalonej opinji co do wartości autora, brało się z pewnem wahaniem pokaźny, liczący 336 str. druku, tom Puccia, w obawie, czy nowego nie dozna się rozczarowania. Lecz pierwsze już kartki książki rozpraszają te obawy, a całość jest rzeczą niezmiernie ciekawą, barwną, którą czyta się jak romans, a która, mimo lekkiej, nie nużącej formy, daje przejmujący obraz niebywałej w dziejach świata katastrofy potężnego państwa, obraz wstrząsający grozą, lub wzruszający smutkiem.

Znana jest zabiegliwość, z jaką dzierżący władzę w Rosji starają się ukryć wobec przyjezdnych cudzoziemców istotny stan rzeczy; znany jest olbrzymi aparat śledczo-podsłuchowy i skutki jego pracy dla tych, co poważyliby się udzielić cudzoziemcowi rzetelnych informacyj o położeniu i sprawach wewnętrznych państwa sowieckiego.

W obecnych warunkach w Rosji—pisze Puccio— „ulica staje się jedyną otwartą księgą dla uważnego badacza", i wyznać trzeba, iż z księgi tej potrafił wyczytać i wyrozumieć bardzo wiele, dobry zaś smak pisarza dał mu właściwy umiar i ustrzegł od wady przejaskrawiania rzeczy dojrzanych; opisane naturalnie i z prostotą tem silniejsze robią wrażenie.

Zaraz na wstępie po odbyciu na granicy sowieckiej i polskiej oryginalnej rewizji (podczas której był świadkiem bardzo charakterystycznego zajścia z pewnym pasażerem z powodu tuzina nowych skarpetek w jego bagażu), Puccio miał sposobność zaobserwować w wagonie restauracyjnym głęboką różnicę w obsłudze gości przez niezbolszewizowanych kelnerów w innych krajach, a przez kelnerów-„towarzyszy", pełniących służbę „z urzędu" w państwie Sowietów. A potem krok za krokiem, czy to przy zmianie pieniędzy, czy przy załatwianiu sprawunków w „unarodowionych" magazynach, w których procedura sprzedaży zdaje się naigrawać ze zdrowego zmysłu kupieckiego i wygody kupujących, Puccio czyni trafne uwagi o absurdalności i niedołęstwie machiny sowieckiej, której przepisy, mimo przygniatający nadzór policyjny i gęstą sieć szpiegowską (wciągają często do

---

[1]) Guido Puccio: „*Al centro della macchina sovietica*" R. Stab. Tipografico F. Campitelli — Foligno — 1930. z przedmową Maurycego Maraviglia.

niej nawet członków band dzieci - włóczęgów), spryciarze i spekulanci, goniący za zyskiem, obejść potrafią.

Innego rodzaju refleksje nasuwają autorowi widoki np. targu, na którym skazana na powolną śmierć burżuazja wyprzedaje resztki mienia, lub widok suterynowego mieszkania, pełnego pamiątek świetnej niegdyś przeszłości. Rodzinę, jako podstawę społeczną, rozbija propaganda wolnej miłości i bezmała przymusowa prostytucja studentek i robotnic, które, jeśli stawiają opór w tym kierunku, narażają się na posądzenie o nieprawomyślność komunistyczną.

Hasło niezależności dzieci od rodziców sprawia, iż bandy nieletnich włóczęgów są stale zasilane przez dzieci, uciekające z domów rodzicielskich czy to z obawy przed karą, czy też z niechęci do rygoru życia rodzinnego. Fakty degeneracji moralnej i fizycznej tych band dziecięcych, przytoczone przez Puccia, są wprost przerażające. Walka z religją dopełnia miary działalności demoralizacyjnej sowieckiego systemu wychowawczego.

Mimo żelaznych kleszczy bolszewickiego ucisku, Moskwa, jako rezydencja rządu i jako centrum, w którem grupa sekciarzy wysila swe mózgi nad zaprowadzeniem nowego ustroju, jest jeszcze miastem żyjącem; Petersburg natomiast czyni wrażenie miasta umierającego. Widok dawnej stolicy, a bardziej jeszcze widok Carskiego Sioła i pałacu, z którego nieszczęsna rodzina ostatniego cara wyjechała na bezpowrotne wygnanie i śmierć, daje autorowi sposobność skreślenia najbardziej wzruszających kart jego ciekawej książki.

Ponury i przygnębiający obraz wyziera z książki Puccia, urągający owej szczęśliwości, jaką bolszewicy zamierzyli obdarzyć Rosję i którą kosztem niesłychanych tortur całych warstw społecznych przeprowadzić usiłują, mimo, że już sam Lenin zwątpił o możliwości urzeczywistnienia zamierzonej reformy, jak tego dowodzi słynna jego mowa (w roku 1921) przy zaprowadzeniu Nepu (nowa ekonomiczna polityka), mowa, której doniosłość słusznie podnosi Puccio i którą przytacza w tłumaczeniu. Z mowy tej trudno z całą pewnością wywniokować, czy owa *volte-face* Lenina w stronę kapitalizmu była istotnie tylko chwilową koniecznością zmiany taktyki wobec widma nieuniknionej katastrofy nędzy i głodu, czy też wynikiem przeświadczenia, iż komunistyczny ustrój jest nieziszczalną utopją, od której odstąpić należy. Faktem jest w każdym razie, iż ów znamienny zwrot dokonał się za sprawą głównego twórcy bolszewickiego systemu i że okazał się koniecznym zaraz w pierwszych latach po próbie jego urzeczywistnienia.

Z tego względu właśnie można zakwestjonować zdanie autora książki, który mówi w przedmowie, iż sowiecki fakt rewolucyjny jest „imponujący i porywający sam w sobie“.

Rewolucja bolszewicka, jako przyczyna, nie jest bynajmniej współmierna ze swemi skutkami, a złożyło się na to wiele okoliczności, przedewszystkiem zaś olbrzymie rozmiary organizmu państwowego, na którym dokonano eksperymentu i brak gruntownych podstaw w samej budowie tegoż organizmu. Nie należy zapominać, iż Rosja, nawrócona od pierwszej chwili na schyzmę, nie posiadała nigdy pełni prawd chrześcijańskich, które jedynie dać mogą trwałe i niewzruszone podstawy istotnej cywilizacji. Przeważnie uczuciowa religja Rosjan wierzących nie dawała im właściwego kryterjum umysłowego na odróżnienie prawdy od fałszu, dobra od zła. Przeżarte rdzą sceptycznej filozofji społeczeństwo rosyjskie nie znalazło w sobie siły oporu i poddało się biernie dokonywanej na sobie wiwisekcji.

Czy i w jaki sposób nastąpi kiedyś w Rosji jakaś reakcja, co do tego wszelkie horoskopy, jak słusznie mówi Puccio, byłyby dziś przedwczesne.

Wogóle człowiek o kulturze zachodnio-europejskiej, ze zdrową łacińską logiką życiową, doznaje trudnych do określenia uczuć zdziwienia, zgrozy, lęku i jakiegoś niepokojącego wyczekiwania, gdy się znajdzie na terytorjum rosyjskiem. Cudzoziemiec, powiada Puccio, odczuwa, że z ostatnią stacją po stronie polskiej, kończy się nasza Europa, a zaczyna jakaś „inna“ Europa Wschodnia, wobec której Polska stoi jak „naród-symbol, wcielający pewną koncepcję życia cywilizowanego, stoi jak pierwsza linja obrony solidarności europejskiej wobec barbarzyńskiego przewrotu, grożącego ze wschodu“. Gdyby przyroda w miejscu polsko-rosyjskiej barjery granicznej wykopała przepaść, nie stanowiłaby ona przedziału równie głębokiego. „Jest to poprostu, mówi Puccio, granica dwu światów“.

D'ARMILI

WYCHOWANIE NARODOWE

AGITACJA ANTYPOLSKA W GEOGRAFJI NIEMIECKIEJ

POD powyższym tytułem ukazała się ciekawa broszura Dr. Kazimiery Jeżowej[1]), pouczająca o tem, co myślą uczeni niemieccy geografowie i popularyzatorzy ich rozpraw i co drukują w podręcznikach dla szkół niemieckich, zarówno powszechnych jak i średnich. Z treścią jej zapoznać się winien każdy Polak, myślący o losach swego narodu, przedewszystkiem zaś polski nauczyciel.

Niemcy powojenne nie zmieniły ani na włos swych zamiarów wobec słowian wogóle, a Polaków w szczególności. Starają się tylko metody stosować odpowiednie do ducha czasu. Zwykle trzymają się taktyki wywoływania nastroju, jakoby im się krzywda stała i starają się dowieść tego, na wszelki możliwy sposób, zależnie od warunków. Na eksport mają żale, narzekania, propagandę pacyfizmu. Dla ziomków natomiast specjalnie spreparowane argumenty, pełne fałszów i oszczerstw, by ich doprowadzić do stanu najwyższego wzburzenia, któreby w stosownej chwili wywołało znany z historji *furor teutonicus.*

Typowym przykładem takiej antypolskiej propagandy jest wydana przez niemiecką gazetę „*Oderzeitung*“ mapa z podpisem „*Blutige Grenze*“, na której granica pomiędzy Polską a Niemcami zaznaczona jest krzyczącym czerwonym kolorem. Pod mapą zaś wezwanie do marszu na wschód, ponieważ „tam jest teren życia i przyszłości dla niemieckiego pochodu naprzód, tam, jak przed wiekami, nęci niewykopany skarb. Gdy Niemcy go poszukają, spotężnieją na nowo“ [2]).

---

[1]) Kazimiera Jeżowa. Agitacja antypolska w geografji niemieckiej. Gdańsk 1929. Odbitka z Rocznika Gdańskiego, t. II i III. Lata 1928 i 1929, str. 38.

[2]) Jeżowa, str. 1. Po niemiecku: „*Hier ist Lebensraum und Zukunft für deutschen Anmarsch. Hier lockt, wie vor Jahrhunderten ein ungehobener Schatz. Wenn Deutschland ihm sucht, wird es wieder stark werden*“.

Artykuły prasy niemieckiej roją się od argumentów o krzywdzie niemieckiej i o zachłanności polskiej. Niemcy każdego pretekstu używają, aby podkreślić nielogiczną według nich zachodnią granicę Polski. O ile dla tych głosów prasy, zwłaszcza codziennej, mającej charakter polityczny — posiadamy sporą dozę wyrozumiałości, to przyzwyczajeni do objektywizmu w rozprawach naukowych — szukamy go i u obcych, a więc i u Niemców, którzy szeroko rozpisują się o swoich kwalifikacjach naukowych.

Dr. K. Jeżowa przewertowała 41 roczników miemieckich czasopism naukowych geograficznych, jak „*Petermanns Mitteilungen*", „*Geographische Zeitschrift*", „*Geographischer Anzeiger*", „*Zeitschrift für Erdkunde*" i t. d. i nie spotkała ani jednego, w którymby się nie znalazła wycieczka przeciw Polsce.

Przedewszystkiem redaktorowie tych czasopism i stali recenzenci nie pomijają żadnej okazji, by nie polecać pism o tendencjach polityczno-agitacyjnych — choć zgoła nie mających nic wspólnego z geografją.

Artykuły naukowe, których autorka cytuje 23, grupują się około dwu zagadnień. Po pierwsze autorzy tych artykułów usiłują udowodnić prawa niemieckie do krain polskich, które już należały do Prus, a to przedewszystkiem na podstawie stosunków językowych. Druga serja artykułów stara się wpoić w społeczeństwo niemieckie, a przedewszystkiem w młodzież przeświadczenie, że Polacy to jakaś „podrzędna" narodowość.

Stałą tendencją, stałą cechą rozpraw niemieckich jest nadto znana nam już z przed wojny metoda przemilczania. Wielu autorów pisze dużo i szeroko o ziemiach polskich, o Polakach, nie wymieniając słowa „polski", topiąc nas w ogólnej nazwie bądź słowian, bądź ludności Europy Wschodniej. Takim specjalistą od przemilczania nazwy Polaków jest np. p. Volz z Wrocławia, który wymienia ją tylko wtedy, gdy chce ją zohydzić, w czem zgodny jest z ogólną tendencją naukowych pism geograficznych niemieckich.

Zamilczać oraz ignorować zachodnie granice Polski — oto cel niemiecki — widoczny na każdym kroku. Istnieje w Prusiech rozporządzenie ministerstwa oświaty, zakazujące używania w szkołach atlasów i map, w których nie byłyby zaznaczone przedwojenne granice Niemiec.

Jeden z największych atlasów niemieckich, atlas Andreego wśród 120 map Europy umieszcza tylko jedną mapę Polski w dziale Europy Wschodniej, aczkolwiek jeszcze w czasie wojny, kiedy Niemcy mieli nadzieję wchłonąć ziemie polskie, umieszczali ziemie polskie w Europie środkowej. Obecnie Polska należy do „dzikiego i niekulturalnego wschodu". Wielkopolska i Pomorze znajdują się po dawnemu pod nagłówkiem „*Deutschland*" i noszą tytuł *Pommern und Posen*. Wszędzie spotykamy fakt przekręcania polskich nazw miejscowości, które są pisane już to z niemiecka, już to z rosyjska.

Wielki atlas Stielera, wydany na nowo w r. 1923 z okazji 100-letniego swego jubileuszu, wcale nie posiada osobnej mapy Polski. Polskę sięgającą od Gniezna do Lublina można znaleść na mapie zachodniej Rosji.

Wielki zakład kartograficzny Perthesa w Gotha nie wydał dotąd mapy Polski, choć ma wszystkie inne kraje Europy.

Szkolne globusy niemieckie znają Polskę od Gopła do Lublina, podobnież popularne mapy biurowe.

Wydany w Hamburgu „*Taschenatlas der ganzen Welt*" nie umieszcza Polski osobno, lecz razem z Rosją w podziałce 1:20.000.000, choć inne kraje są w podziałce 1:7.500.000 i 1:3.750.000. Polska ma tutaj dobrą granicę wschodnią, ale Sosnowiec, Częstochowa, Włocławek leżą na samej granicy zachodniej. Wielkopolska i Pomorze są na mapie „*Nordostdeutschland*".

Przez pierwsze cztery lata istnienia państwa polskiego czasopismo „*Petermanns Mitteilungen*" nie wymieniało Polski w ewidencji krajów europejskich. Liczono najwidoczniej, że Polska nie wyjdzie cało z opresji bolszewickiej, że o państwie sezonowem będzie można zupełnie zapomnieć.

(Dok. nast.) Z. P.

NAUKA I LITERATURA

PRZEGLĄD HUMANISTYCZNY

PRZED paroma laty — po krótkiem istnieniu — zakończyło swój żywot pismo kwartalne, noszące tytuł „Przegląd Humanistyczny". Przyczyną zgonu była nietylko obojętność ogółu czytelniczego dla spraw kultury, ale i sama treść pisma, bezplanowa, przygodna, a przytem w znacznej części utrzymana w duchu bakalarskim. Obecnie pod tym tytułem począł wychodzić we Lwowie nowy kwartalnik, którego redakcję objął sprężysty i ruchliwy redaktor „Kwartalnika Klasycznego", „Filomaty" i „Eos", prof. Ryszard Ganszyniec. Nowe pismo różni się od swego dawnego imiennika. Zamiast jałowego przyczynkarstwa mamy tu artykuły żywe, o treści różnorodnej, a zawsze aktualnej. Ponieważ pismo to przeznaczone jest przeważnie dla nauczycieli szkół średnich, przeto na pierwszy plan wysunięto dydaktykę nauk humanistycznych: historji, polonistyki, romanistyki, anglistyki, germanistyki; wykluczono filologję klasyczną (chyba że pozostaje w związku ze wspomnianemi przedmiotami), ta bowiem ma już własne, specjalnie jej poświęcone, pisma. W dziale artykułów dydaktycznych szczególnej uwagi godzien jest artykuł W. Barbasza „System czy historja literatury", w którym spotykamy m. in. takie gorzkie słowa prawdy pod adresem dzisiejszych metod nauczania: „wiek XVII ogranicza się dziś prawie do wyjątków z Potockiego, jest dziś możliwe opuszczenie murów gimnazjum bez znajomości Kordjana, Balladyny, Ks. Marka, Przedświtu; nowe Czytanki Balickiego i Maykowskiego usuwają niemal wszystkich klasyków, tak iż ich wychowankowie będą wiedzieli o Tuwimie i Bandrowskim, a nie usłyszą o istnieniu Słowackiego, Mickiewicza, Sienkiewicza czy Kochanowskiego"... W dziale artykułów literackich godzien jest uwagi — ze względu na nowość tematu — b. ciekawy szkic Ganszyńca „Echa pieśni goljardowej w Polsce", podający nietylko charakterystykę pieśni włóczęgowskich, powstałych w Polsce, ale także ich teksty (łacińskie) wraz z dobremi przekładami polskiemi. Liczne, po całym zeszycie rozsypane, przekłady z literatury włoskiej, francuskiej, niemieckiej bardzo ożywiają pismo. Wielką sumiennością i tonem poważnym odznacza się artykuł M. Piszczkowskiego „Polonistyka w latach 1926—1929", którego ukazała się dopiero część I, omawiająca „Metodologję badań literackich". Trudno natomiast powagi, bezstronności i sumienności dopatrzeć się w „kronice literackiej", którą nieopatrznie powierzono żółtodziobemu gadule, J. Flammowi, występującemu pod pseudominem J. B. Płomieńskiego. Kronika ta, pomijająca milczeniem wiele ważnych zdarzeń kulturalnych ostatnich czasów („Bal w obłokach" Miłaszewskiego, nowe książki Wasilewskiego, Adam-

czewskiego etc., „Niespodziankę“ Rostworowskiego) notuje natomiast takie epokowe zdarzenia, że we Lwowie pisuje C. Jellenta i że jest tam literat, nazwiskiem Herszeles, że do najtęższych talentów Krakowa należą: K. Kuliński i A. Butrymowiczówna; najwięcej jednak pisze p. Pł. o sobie, widocznie uważając się za „najtęższy talent“ całej Polski. Jak p. Pł. czyta książki, o których pisze, świadczy to, że pomawia Waśkowskiego, autora dramatu o „Makrynie“ iż nie znał pracy ks. Urbana o tej „rzekomej świętej“, a w rzeczy samej sprytnej oszustce (*nb.* i to ponoć żydówce z pochodzenia)!— Ależ dramat Waśkowskiego właśnie powstał pod wrażeniem lektury książki ks. Urbana i tezę tej książki całkowicie podziela! Dalszym dowodem niesumienności p. Pł. jest fałszowanie wyników pracy P. Grzegorczyka, w której ten uczony stwierdził, że cała niemal powieść Sieroszewskiego „Zamorski djabeł“ jest skróconym przekładem (z paroma błędami) z książki Piaseckiego o Mongolji i Chinach. Tymczasem p P. twierdzi, że tu szło o „parę... rozdziałów“—i że tu chodzi o *bluff* (tak!) literacki.

J. B.

RUCH WYDAWNICZY

Humoreska Adama Grzymały-Siedleckiego „Maman do wzięcia“, wydana nakładem księgarni Gebethnera, jest groteskowym obrazkiem wiejskiego dworu. Tłem i familjarnem traktowaniem jego mieszkańców, jak i poziomem literackim, pokrewną jest ta książka takim miłym utworom, jak Jeża „Pamiętniki starającego się“, Wilkońskiego „Ramoty i ramotki“ i Jordana „Wędrówki delegata“. Akcja rozgrywa się w zapadłym kącie Wołynia i w Warszawie. Siedlecki zamaszyście kreśli sylwety swych postaci, przywary ich i śmiesznostki, przeplatając żart nutami sentymentu. Sceniczny układ „Maman do wzięcia“, który swem niebywałem w dziejach teatru powodzeniem w Teatrze Polskim w Poznaniu w czasie Powszechnej Wystawy Krajowej o szereg miesięcy wyprzedził wydanie książkowe, od niedawna wystawiony jest w Teatrze Letnim w Warszawie. Na scenie, rzecz prosta, odpadła soczysta, malarska plastyka krajobrazu, właściwa wielkiemu talentowi autora „Samosęków“. Natomiast jaskrawość gry artystów teatru wysunęła humoreskę w niektórych momentach przedstawienia poza ramy jej niefrasobliwej pogody. Spowodowało to kilku krytyków, nawiasem mówiąc, stale łżących narodowe tradycje, do ich faryzejskiej obrony i obłudnego oburzenia, co zresztą nie zwiodło, na szczęście, publiczności.

*

W czasach gdy na każdym kroku podważa się i obniża systematycznie powagę i znaczenie szkoły, miło jest wziąć ręki zbiorek wierszy Wiesława Strzałkowskiego, abiturjenta gimn. im J. Zamoyskiego w Warszawie, świadczący o tem, że są w Polsce uczelnie i uczniowie, rozumiejący wzajem swe pragnienia, cele i obowiązki. Zbiorek, zatytuowany „Pożegnanie szkoły“, (skład główny „Bibljoteka Polska“) został wydany nakładem miesięcznika szkolnego, którego p. Strzałkowski był sprawnym i dzielnym redaktorem (miesięcznik ów został wyróżniony na wystawie pism szkolnych) i ożywiającą go duszą. Wyrobiona forma wierszowa, giętki język, szczerość wypowiadania się, świeżość ujmowania porównań i przenośni (choćby czasami były same w sobie już nieco utarte), młodzieńcza ufność w swe siły (pozbawiona jednak zarozumiałości)—to wszystko dobry zadatek na poetę; wątpić też nie należy, że talent p. Strzałkowskiego, wydostawszy się z obrębu ścian szkolnych na szerszą przestrzeń, rozwinie się niebawem jeszcze piękniej. Życzyć należy młodemu literatowi, by i nadal zachował piękne hasła i uczucia, jakie go w chłopięcej dobie życia jego wiodły. Głębokim rysem jego charakteru jest przedewszystkiem miłość do matki, której zbiorek cały poświęcił. W serdecznych słowach prosi Ją, by szła nadal z nim przez całe życie i darzyła go swem ciepłem macierzyńskiem. Równie serdecznie, po synowsku, przemawia i do swej drugiej wychowawczyni — szkoły, która jest „jak najlepsza matka“ Odchodząc od niej, obiecuje, że wśród trudów czekającego go życia „z uśmiechem rozrzewnienia i z płaczem napoły nieraz pewno powróci myślą do swej szkoły“. Cykl „Z chwil podniosłych“ powstał pod wrażeniem obchodów ku czci Słowackiego, Mickiewicza i 10-lecia Polski. Z wierszy tych (także i innych cyklów) słyszymy bijące serce gorącego patrjoty, który ma być wkrótce dzielnym i wiernym obrońcą i obywatelem swego kraju. Rozpamiętując dzieje walk o zdobycie niepodległości (Orlęta, Medalik), myśli też młody poeta z bólem serca o tych wszystkich, którzy i dziś jeszcze, w wolnej Polsce cierpieć muszą nędzę.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

P. Gaston Chérau znany był dotąd przedewszystkiem jako autor ciekawych powieści prowincjonalnych. W ostatniej jednak książce, „*La Volupté du Mal*“ (*Ferenczi édit*), p. Chérau przenosi nas do środowiska paryskiego. Robert Fayé jest sławnym pisarzem dramatycznym. W jego życiu domowem nie panuje jednakowoż harmonja. Przeciwnie, pożycie z żoną zakłócane jest często różnorodnemi perypetjami miłosnemi zbyt przez kobiety zepsutego dramaturga. Od czasu jednak, kiedy ten ostatni poznał rosyjską księżniczkę Nataszę Pounianoff, nietylko go ona odwraca od żony, ale w dodatku i od jego dzieła dramatycznego. Aurelja Fayé przebaczyła już swemu mężowi wiele wyskoków. W tym jednakowoż wypadku buntuje się i jako kobieta i jako żona sławnego pisarza, którego romans z Nataszą pozbawia inspiracji twórczej. Natasza przepojona „rozkoszą złą“, zginie też w wypadku, do którego wywołania przyczyniła się Aurelja Fayé. Ale Natasza nie jest może z pochodzenia księżniczką rosyjską, ale tylko biedną dziewczyną, poprostu Jenny Roubier, którą się traktowało z pogardą, a która dnia pewnego zbuntowała się przeciwko swemu losowi i dla pomszczenia swej smutnej i nędznej przeszłości przeistoczyła się pod obcem nazwiskiem w kobietę demoniczną.

Intryga, jak zawsze u p. Chérau zręcznie przeprowadzona i ujęta w żywą formę. Niezaprzecznie oryginalną stronę psychologiczną tej powieści stanowi umysłowość zdradzonej żony, która zdaje się bardziej cierpieć z powodu narażonego na niebezpieczeństwo talentu swego męża, aniżeli bronić swych praw żony.

SZTUKI PLASTYCZNE

MONOGRAFJE ARTYSTYCZNE

Od dłuższego już czasu ukazują się w handlu księgarskim, nakładem Gebethnera i Wolffa wydawane „Monografje artystyczne“ z dziedziny sztuk plastycznych. Wydawnictwo bardzo pożyteczne, bo w tanich i ładnie drukowanych książeczkach rozpowszechnia znajomość malarstwa i rzeźbiarstwa polskiego. Z zakresu architektury jeszcze tu niema prac, ani nawet ich zapowiedzi, co należy uznać za brak zasadniczy, pomimo dużych, istotnie, trudności, jakie na tem polu tego rodzaju wydawnictwo w Polsce napotyka. Trzeba jednak je przełamać, bo architektura u nas zanadto jest zaniedbana i przez ogół lekceważona. Redakcja monografji dokonałaby dużej wagi czynu kulturalnego, gdyby i na ten dział zamierzenia swoje przeniosła. Możnaby zacząć naprzykład, od architektonicznej monografji Wawelu, a następnie warszawskiego Zamku Królewskiego, co, bodaj, nie przedstawiałoby dla wydawnictwa żadnych trudów dodatkowych. Myślę nawet, że byłoby łatwiejsze od gromadzenia odbitek dzieł malarskich i rzeźbiarskich, a w handlu — zyskowniejsze, bo dwie te monografje rozeszłyby się o wiele szybciej, niż dotychczasowe, a to ze względu na popularność i ponętę przedmiotu.

Ostatnio wydane dwie monografje — o Wyspiańskim i o Stryjeńskiej — różnią się od dawnych rozmiarami. Są większe, a przez to lepsze, bo lepiej uwidoczniają szczegóły dzieł, w małych odbitkach całkowicie czasem zatracone. Ale posiadają wady czysto wydawnicze, od których ustrzegła się niejedna z książeczek tych dawnego typu. Naprzód — nie mają spisu monografij już wydanych, oraz w najbliższej przyszłości zamierzonych. To duży błąd redakcyjny, bo taki spis zawsze jest dla czytelnika pożyteczny, a wydawnictwu niewątpliwy zysk przynosi, zysk większy od reklamy. Spis taki powinien być opatrzony cenami. Nasi kupcy jeszcze nie nauczyli się tej prawdy, w handlu podstawowej, że oznaczenie ceny przedmiotu powiększa zastępy kupujących. A następnie — monografja o Wyspiańskim daje niepełny i bardzo niedbale ułożony spis dzieł Wyspiańskiego. Tylko Stryjeńska otrzymała ten dział w dobrem opracowaniu. Te i tym podobne techniczne szczegóły wydawnictwa są dla

idei damokratyzacji sztuki, czyli jej rozpowszechnienia zbyt ważne, aby krytyka mogła je pomijać dobrodusznem milczeniem. Redakcja ma obowiązek pedantycznego ich pilnowania, a kieszeń wydawcy dla własnego dobra powinna, z kolei, redakcję do pilności przymuszać. Narzekamy na rzemieślników naszych, że są w robocie niedbali, a sama inteligencja zły przykład im daje.

Każdy tomik monografij posiada trzydzieści dwie odbitki jednobarwne — ilość dostateczna dla wyrobienia sobie ogólnego poglądu na sztukę artysty, ale pod warunkiem rozumnego doboru dzieł. Czasem jednak i ta ilość nie wystarcza. Należałoby wtedy zgóry uczynić podział dzieł, zaznaczyć podział w podtytule, czytelnika w ogłoszeniu przy spisie o tem uprzedzić i po pewnym czasie dać temu samemu artyście, czy działowi sztuki drugi tomik monograficzny. W monografji o Wyspiańskim przydałby się taki tomik następny. Mogłyby tam znaleść się wszystkie krajobrazy z cyklu „Kronika kilku dni“ — mało znane arcydzieła krajobrazu polskiego. Znalazłoby się tam również miejsce dla witrażu „Kazimierz Wielki“, który w obecnym tomiku niewiadomo dlaczego opuszczono na rzecz słabszych kartonów witrażowych. Gdy zaś redakcja monografij stanie w obliczu wielkiego ilościowo dorobku — takiego, naprzykład, Chełmońskiego, wtedy już dwa tomy staną się koniecznością.

Do każdego tomiku przydany jest literacki wstęp monograficzny. Tu trudności redakcyjne znacznie się powiększają. Wstęp musi być krótki — około dwóch arkuszy druku, a zarazem pełny pod względem treści, rzeczowy, jasny, dobrym językiem i stylem napisany, logiczny w zamiarze i budowie, oraz w ramach pewnego typu utrzymany, typu najogólniejszego (żeby nie krępował autora), ale dla wszystkich monografij raz na zawsze ustalonego. Warunkom tym niewielu u nas pisarzów podołać może. Są rozwlekli, nie umieją pisać po polsku, nie zdają sobie sprawy z celu monografij, nie trafiają w poziom i ton, czasem nie mają nic do powiedzenia. Jeden rozrzuca daty życiorysu po całym wstępie, inny je zwiera na początku szkicu, jeszcze inny — na końcu. Jeden wdaje się w zbędne roztrząsania techniki artystycznej, dla ogółu niezrozumiałe, inny wpada w równie zbędną ekstazę i poetyzuje. Ze wszystkiego widać, że redakcja jest bierna, że nie potrudziła się w wypracowaniu typu wstępu i warunków, których od autorów ma obowiązek wymagać. Niektóre monografje redakcja powierza żydom w opracowaniu wstępu, a raz doszło do takiego skandalu, że monografję o Matejce napisała żydówka (pani „Stefanja Zahorska“), naturalnie w sposób, urągający wszelkiej logice i estetyce.

Wstępy do ostatnio wydanych dwóch monografij są, na szczęście, polskie. Wstęp o Wyspiańskim napisał pan Tadeusz Szydłowski. Autor nie panuje nad językiem polskim, wzorem dziennikarstwa używa słów obcych, a unika odpowiednich polskich, źle rozmieszcza przymiotniki, i t. p. Styl ma pospoliiy, budowę — nieumiejętną. Przedmiot źle rozplanowany, szczegóły poplątane, całość tonie we mgle. Ratuje autora jedynie szczery, ujmujący stosunek do sztuki i do Wyspiańskiego, oraz prosty, bez koturnów ton jego wstępu. Wysokie zato koturny wzuł p. Jerzy Warchałowski w swoim szkicu o p. Zofji Stryjeńskiej. Obowiązującą go rolę monografisty porzucił, a przybrał nieumiarkowaną, patetyczną pozę panegirysty. Dla zachwycenia osobistego poświęcił charakter wydawnictwa, któremu zepsuł perspektywę, jakże bowiem blado w porównaniu wyszły spokojne, rzeczowe wstępy innych autorów w monografjach o największych twórcach sztuki polskiej! Ton wstępu p. Warchałowskiego nie budzi zaufania tembardziej, że mając do rozporządzenia dwadzieścia stronic druku, autor całe pięć stronic poświęca błahym rozważaniom na temat krytyki i jej stosunku do artysty i widza, co wobec zachwytów jego nad sztuką Stryjeńskiej niewytłumaczonem jest marnotrawstwem miejsca. Czy nie nie lepiej byłoby zużyć je na rzeczowe uwagi o sztuce artystki? Autor wstępu mówi, że „talent Stryjeńskiej nie ma, zdaje się, granic“. Szkoda, że bodaj o te pięć stronic nie przybliżono czytelnika do takiego talentu...

Czczy, sercowy panegiryk nie jest monografją i tu redakcja miała prawo powstrzymać osobiste zapędy autora. Stryjeńska posiada wielki talent, niewątpliwie, ale ma on granice, nawet dość ciasne — nie pod względem różnorodności uprawianych działów malarstwa, bo to miara bardzo zawodna, lecz pod względem zasięgu siły i wartości wewnętrznej. W ostatnich czasach sama artystka w sposób lekkomyślny dobitnie te granice wskazała, przedsiębiorąc portretowy cykl królów polskich z dynastji piastowskiej. Szereg postaci, których dzieje stanowią syntezę i symbol dramatycznego okresu historji narodu polskiego, jego wielkości i sławy, artystka pomyślała i wykonała w stylu kabaretowym. Czynem tym przekreśliła wszystkie superlatywy swojego panegirysty. Powiedziała sama, że loty jej talentu nie są wysokie, a duch — niedostojny. Bezstronny widz tak samo ją osądzi, a to nie z powodu zadrażnionych uczuć patryjotycznych, lecz z prostego poczucia przynależności danego tematu do dramatycznych, a nie farsowych pokładów duszy ludzkiej. Powiedziałbym to samo, gdyby dzieło pani Stryjeńskiej było cyklem Merowingów, nie Piastów. Jest rzeczą dość dziwną, że kobieca wytworność artystki nie wyczuła w tym temacie odległości od tańców, bajek, sielanek i humoru „Monachomachij“.

Talent artystki znakomicie dostrojony jest do werwy tanecznej, sentymentu i liryki trenów Kochanowskiego, do poziomu bajek ludowych, do humorystycznych i charakterystycznych scen dawnych zajazdów, piwiarni i refektarzów. Ma on także swoje pole rodzime w symbolice ludowej żywiołów, pór roku i t. p., oraz w jej bogatej pomysłowości zdobniczej. Natomiast nieoryginalna, zawikłana i zmącona jest twórczość artystki w zakresie tematów muzycznych i ogólnych, jak „Poranek“, „Wieczór“ i „Koncert Beriota“ — umieszczone w monografji. Zaś jej cykl bogów i bożków słowiańskich, choć artystka nie parodjuje ich, jak królów polskich, z równą jednak stanowczością zakreśla granice jej talentu. Pozbawione jednego stylu i jednej idei przewodniej, utrzymane na poziomie współczesnej sielskości z domieszką krynolinowej pasterskości, postacie tego panteonu dalekie są od morza, borów i stepów słowiańszczyzny pierwotnej, jak ją może i musi sobie wyobrazić mężczyzna, czujący wojnę, pionierstwo i hjeratyczny zmysł czasów barbarzyńskich. Zadużo tu grymasów kobiecych i sopranu, jak na temat... Autor wstępu do monografji nie ustopniował charakterystyki talentu artystki, zachłyśnięty od początku do końca warem uwielbienia.

Jakkolwiek wiele jeszcze wad posiada wydawnictwo „Monografij artystycznych“, jest ono dla kultury polskiej pożyteczne. Miejmy nadzieję, że wydawcy i redakcja zechcą, jeśli nie uwzględnić, to rozważyć podniesione tu, a życzliwością podyktowane zarzuty. Może niejeden błąd choć w części i poswojemu zostanie usunięty, niejeden brak uzupełniony, a wtedy wydawnictwo jeszcze lepiej spełniać będzie swoje zadanie demokratyzacji sztuki, którą tu pojęto w sposób rozumny i godny cywilizacji. Ideę demokratyzacji sztuki, pojętej jako obniżenie poziomu samej sztuki aż do wymagań motłochu, chcieli nam, jak wiadomo, narzucić żydzi, a grupa skamandrylów kryptożydowskich od dziesięciu lat w tym kierunku pracuje. Okazało się jednak, że Polska to nie Rosja. Nikłe i już zamierające wyniki wszelkich judoformizmów, które w obozie mafji kończą na ekskrementalizm, pomimo bierności i lokajstwa literackiej inteligencji warszawskiej, świadczą dowodnie o duchowem zdrowiu społeczeństwa polskiego. Każdy tomik „Monografij“, o ile nie przez żyda pisany i nie żydowskiemu artyście poświęcony (np. Zak), dorzuca od siebie swoje ziarno rzetelnej kultury, które nie na jałową glebę natrafi.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

OFENSYWA

LITERATURA A DYCHTATURA

CZYTELNICTWO książek w Polsce spada w sposób katastrofalny.

W jednym z numerów „Przeglądu Księgarskiego“ z r. 1928 pojawił się artykuł p. t. „Produkcja książek w r. 1927 według nakładu“, w którym umieszczono tabelkę ilustrującą średni nakład książek w r. 1927:

Poezja, powieść, dramat	5095 egz.	(w r. 1926 o 499 więcej)
Podręczniki	8114 „	(w r. 1926 o 381 więcej)
Książki treści religijnej	4826 „	(w r. 1926 o 737 więcej)
Prawo, nauki społeczne	1956 „	(w r. 1926 o 12 więcej)
Historja i nauki pomocnicze	1376 „	(w r. 1926 o 1373 więcej)
Historja i teorja literatury	2155 „	(w r. 1926 o 589 mniej)
Książki dla dzieci i młodzieży	4158 „	(w r. 1926 o 1897 więcej)
Pedagogja, wychowanie szkol.	1896 „	(w r. 1926 o 51 więcej)
Wydawnictwa brukowe	6328 „	(w r. 1926 o 452 więcej)

Od tego roku, przez dwa następne jeszcze się stan ten pogorszył, a „Przegląd Księgarski“ prawdopodobnie nie omieszka podać czytelnikom cyfr z r. 1928 i 1929.

To też nie można się i dziwić, że pisarze polscy podnoszą już formalny lament. Takiej nędzy nie przeżywali jeszcze nigdy, a wiadoma rzecz, że zahartowani są wcale i do twardego żywota przyzwyczajeni.

Wiedzie się dobrze, względnie znośnie tylko tym, którzy wysługują się dychtaturze i raz po raz korzystają z *„reptilienfondu“* różnych ministerstw i instytucyj rządowych. Na tych idą odpadki ze stołu pańskiego i resztki z „luzów“ budżetowych. Wiążą koniec z końcem i łatają dziury dalej ci, którym spadła jednorazowo jakaś nagródka municypalna czy państwowa. Egzystują jako tako ci, co związali się z dziennikami, pracują publicystycznie lub w prasie brukowej lub w Radju. Inni radzą sobie jak mogą, a bardziej szara brać literalnie przymiera głodem, pocieszając się tem, że w złotym wieku „sanacji“, malarzom, rzeźbiarzom, muzykom jeszcze gorzej...

Złożyło się na to moc przyczyn i powodów. Pierwszy, generalny — to potworna bieda w kraju, do jakiej nas dopchali „zwycięzcy“ z maja r. 1926. Jakżeż tu mają kupować książki ludziska, którzy się nie dożywiają, nie dojadają! Weźmy to statystycznie. Odżywiających się ponad normę w Stanach Zjedn. jest 60% ludności, w Anglji i we Francji 50%, we Włoszech 30%, w Polsce 8 (osiem)%.

Głodny książek nie kupuje i dziwić się mu lub oburzać nań niema sensu.

Wedle obliczeń, dalej polski robotnik wydaje na żywność 61% zarobku, na tytoń i alkohol 4% zarobku, a na tak zwane potrzeby kulturalne 3%, podczas kiedy urzędnik na odżywianie się 43% pensji, na alkohol i tytoń 1,9%, a na wydatki kulturalne 6,2% czyli żyją wyłącznie wegetatywnie t. j. pracują, ażeby przeżuwać i przeżywać i nic więcej.

Z analfabetyzmem w Polsce powoli coraz lepiej dajemy sobie radę, ale jeżeli chodzi o nasze wielkie miasta, to jest w nich gorzej, niż... w Sowietach, albowiem

Leningrad	ma 13,81%	analfabetów
Warszawa	„ 16,96%	„
Moskwa	„ 22,42%	„
Łódź	„ 31,91%	„

Jeżeli taki procent analfabetów jest w dwóch największych miastach Polski, i jeżeli w ogólnej sumie mamy jednak, Kochani Państwo,

43% analfabetów,

no to co tu dłużej narzekać na upadek czytelnictwa?

Według obliczeń pani Anny Chorowiczowej na 30 miljonów Polaków zaledwie 2.100.000 może sobie organicznie pozwolić na kupowanie czegoś tak luksusowego jak książka. Z tej cyfry trzeba jeszcze odjąć starców, dzieci, dalej obywateli mniejszości narodowych słowiańskich, dalej Niemców i znaczną część żydów, konsumujących tylko to, co w żargonie. Pozostaje „miljon“ potencjalnych nabywców, podczas gdy w Stanach Zjedn. można liczyć: 30 miljonów, w Anglji 17 miljonów, Francji 13, w Czechosłowacji (liczącej 6½ miljona Czecho-Słowaków) potencjalnych nabywców 2 i pół miljona.

Zostaje tedy miljon, miljon... odżywiających się tak, że ostatecznie mogą sobie pozwolić na kupowanie takiego „luksusu“ jak książka. I teraz przychodzą nowi wrogowie czytelnictwa: sporty, radjo, kino, wrogowie bardzo ekspansywni, aktywni a pełni uroków i powabów, aktualnie istotnie bezkonkurencyjnych. Potem jeszcze jeden niebezpieczny... przyjaciel i miłośnik literatury... dwuznaczny, egoistyczny.. szkodliwy... t. j. publiczne czytelnie i wypożyczalnie... No, a gdy ten regestr już się zamknęło, wtedy przypomina się dziś rywal najzaciętszy i nieprzejednany każdej literatury rodzimej, ojczystej, autochtońskiej to jest... tłumaczenia. I z tem już także walka jest omal beznadziejna, bo to objaw powszechny, we wszystkich krajach notowany: Niemcy czytają masowo cudzoziemców, Francuzi wchłaniają „Moskali“, Amerykanów, Anglików i Niemców, Anglicy Francuzów, Rosjan, Hiszpanowie Włochów, Włosi Rosjan, Czesi Anglików i Niemców i t. d. Kula ziemska się zmniejszyła, wszyscy chcą poznać wszystkich. Inflację tłumaczonej literatury, głównie beletrystyki, notują od dziesięciu lat wszędzie, co wytworzyło nawet specjalny gatunek pisarzy o komiwojażerskiej mentalności, międzynarodowców z przekonania i kalkulacji komercjalnej (Erenburg, Maurois, Decobra, Morand, Istrati etc.).

Księgarski rynek polski również zalany czy zasypany jest już formalnie tłumaczeniami. To jest jedyny towar, który idzie *rapid*. Wytworzyła się już nowa gałąź industrji tłumaczeniowej a liweranci tłumaczeń zaczynają dystansować oryginalnych autorów na polu zarobkowem. No i trzeba też przyznać, że obok tandety mizernie polszczonej tłumaczy się już moc utworów *first class* i nie można się dziwić czasem potem publice, że zamiast irytować się nad *cochonnerie* Kadena-Bandrowskiego woli Pitigrillego i nad Ehrenberga przenosi Erenburga, Dreyser zaś lub Sinclair Lewis jednak są bardziej interesujący, niż pani Samozwaniec lub nawet „Dziewice Konsystorskie“.

Wszystko to atoli wpływa fatalnie na rozwój i rozrost piśmiennictwa i krasopisarstwa swojskiego, temcibardziej, że nadto istnieje stanowczo za wielka hyperprodukcja literatów, krytykastrów i lirników, a równocześnie wydaje się stanowczo i dysproporcyonalnie za wiele, *multa sed non multum*.

Jak na 30 miljonów Parjasów to 6.100 do 6.800 książek wydawanych rocznie jest cyfrą przesadną. Nie czyta już bowiem właściwie nikt. Gdyby nie snoby, żydy, żydóweczki, damy prowincjonalne, nauczyciele ludowi, narzeczeni chcący wydać się inteligentnymi, starsze panny, recenzenci, krytycy, konkurenci, rodziny autorów, zecerzy, cenzorzy, mecenas Kohn i doktór Rapaport, no i Wy, koleżanko Goldberżanko! (Aldono), wnet nawet sam Boy poszedłby pod kościół na żebry.

Najgorzej atoli, bo najmniej, kupuje obecnie nasze ziemiaństwo.

Ale to już jest osobny rozdział, który się jeszcze napisze.

Tymczasem tylko: *au revoir!*

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Dzienniki „sanacyjne“, w szczególności warszawski „Kurjer Poranny“, oburzają się niesłychanie na fakt „zakłócenia zgody i łamania solidarności narodowej“ przez Młodych Obozu Wielkiej Polski w Gdyni. Czyż może kto wyobrazić sobie doskonalszy symbol tej zgody narodowej, opartej na poszanowaniu cudzego zdania, miłości, niedopuszczaniu do walki pomiędzy rodakami, aniżeli organizacja „Strzelca“? Czyż istnieje w Polsce organizacja, posiadająca równie piękne tradycje łagodzenia sporów, kojenia uraz, zwalczania odmiennych poglądów politycznych nie siłą brutalną pięści, ale pełną życzliwej serdeczności perswazją? I ta właśnie organizacja — balsam, organizacja ewangelicznej miłości bliźniego, jaką jest „Strzelec“, spotkała się, z nieprzychylnem stanowiskiem „obwiepolaków“... Okropność!!!

*

Dodatkowe szczegóły, jakiemi możnaby jeszcze uzupełnić wiadomości P.A.T.-icznej oraz „naocznego świadka“ z „Gazety Polskiej“ o niedawnych zajściach w Gdyni:

...„Już w piątek wieczorem, spacerując ulicami miasta, rozpolitykowani młodzieńcy zachęcali się wzajemnie: „Trzebaby poderżnąć gardła wszystkim niemowlętom w Gdyni, to by popamiętali, żeśmy tu byli“...

„Kiedy jeden stary rybak kaszubski podszedł do młodzieńca, pytając grzecznie: „Przepraszam szanownego pana, która godzina?“, kilkunastu znajdujących się bliżej akademików odpowiedziało natychmiast salwą rewolwerową. Tylko nadzwyczaj sprawnej interwencji policji zawdzięczać należy, że żadna z kul nie trafiła“...

„Nie przygotowani na zaczepkę, nie przypuszczający nawet cienia możliwości zakłócenia uroczystego dnia święta państwowego, obywatele tutejsi na tak bardzo nieoczekiwaną prowokację odpowiedzieli natychmiastowym odruchem... Rzucili kilka bomb łzawiących, które, jak wiadomo, spokojna i pracowita ludność miejscowa zawsze nosi przy sobie“.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.
Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.